

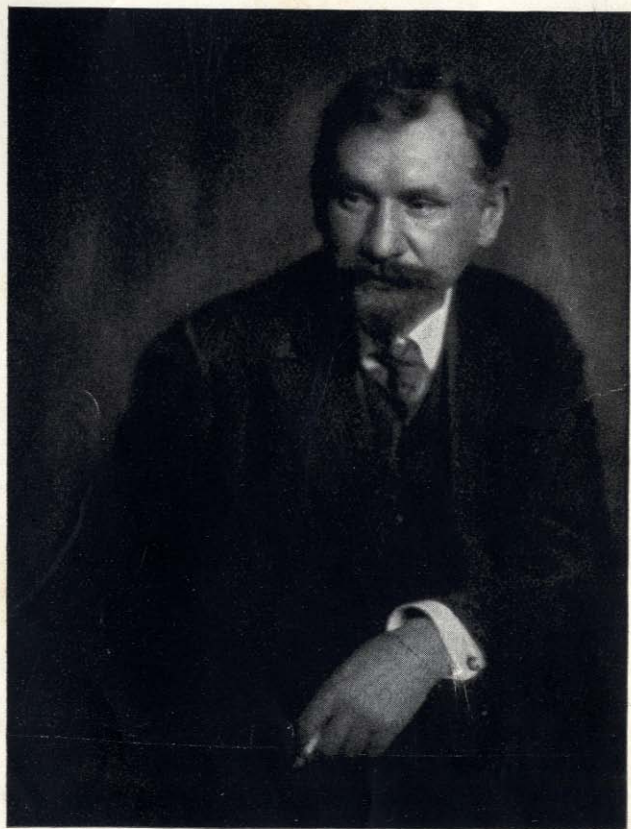
Wydawnictwa „Lektora”

Wyszły:

- „ALRAUNE”, powieść H. H. Ewersa, w przekładzie Jadwigi Przybyszewskiej, z wstępem Stanisława Przybyszewskiego
„KRZYK”, powieść Stanisława Przybyszewskiego, z literackim autoportretem autora
„DYABELSKA PRZEŁĘCZ”, powieść Henryka Zbierzchowskiego, z przedmową Dra Adama Fischera

W przygotowaniu:

- „BUNT ANIOŁÓW”, powieść Anatola France’a
„PLEMIĘ DYABŁA” (Les Diaboliques), Barbey d’Aurevilly
„OPIUM”, Claude Farrere’a
„UCZEŃ CZARNOKSIĘSKI”, powieść H. H. Ewersa



Stanisław Przybyszewski.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

KRZYK

POWIEŚĆ



WYDAŁ: LITERACKI INSTYTUT WYDAWNICZY „LEKTORA”
1917 :: :: LWÓW-KRAKÓW-WARSZAWA-POZNAŃ

Wszelkie prawa zastrzeżone

Skład główny:

„Lektor”, ul. św. Mikołaja 23 (Dom własny)

Komputer:

02



196820

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0056489

Okładkę rysował art. malarz Włodzimierz Błocki
Znak wydawniczy pomysłu Prof. Dra Witwickiego
Odbito czcionkami Zakładu drukarskiego „Grafia”
we Lwowie ~ ~ ~ ~ ~ Klisze portretowe wykonał
Zakład art. graficzny Brzeziński i tow. we Lwowie

V-89/89

W ZWIERCIEDLE

Uproszony przez wydawcę mojej najświeższej powieści „Krzyk“ do napisania własnej autobiografii do mej książki, którą teraz publiczności oddaję, pomyślałem, coby mogło człowieka, który mnie istotnie czyta, to znaczy: mój twór przeżywa i niejako ze mną razem jest przy tworzeniu obecnym — w tej autobiografii zaciekawić.

Przecież nie losy mojego zewnętrznego życia, bo tyśiąckroć razy ciekawsze znajdzie je u tych chorobliwych ekshibicionistów, jakimi byli ci wszyscy confessorzy, począwszy od św. Augustyna, aż wzwyż do Ronsseau, do Casanowy, Strindberga, a nawet do tych najmłodszych literackich smarkaczy, którzy z swego pierwszego dramaciku miłosnego jakąś straszłą tragedję wyczyniają — przecież ludzi, pomyślałem, którzy na mnie jako na twórcę patrzą, a nie jako na clowna cyrkowego, nic,

a nic przypadkowe losy mego życia obchodzić nie mogą, i to losy, które z natury rzeczy nie mogły być nawet dla mnie tragedjami, a co rzeczywiście chciano gwałtownie uważać za tragedję, stało się mojem szczęściem — tak, że ja, dziś, do pięćdziesiątki dobiegając, czuję się tak młodym, jak wtedy, gdy mój twór rozpoczynał... więc, gdy mój twór wszystko rozważył, postanowiłem dać w tym moim autoportrecie jedynie tylko to zwierciadło, w którym siebie widzę — nie jako człowieka, któryby mógł być równie dobrze cnotliwym księdzem, jak zbrodniarzem, szlachetnym mieszczaninem, jak magnatem o dostojnych gestach, rzeźmieszkiem, lub też pracowitym wołem roboczym, anarchistą albo zaciekłym stańczykiem: to wszystko głupstwo i marność, — ale to zwierciadło, w którym mi się odbija duchowa moja fizio nomia.

Dotychczas tylko malarz miał ten przywilej, że mu nie brano za złe, ani mu za próżność nie poczytywano, jeżeli się siebie samego namalował.

Swoją drogą: jak niezmiernie mało tych autoportretów, w których dusza artysty w całej swej ogromnej pełni artyście się uświadomiła, dusza artysty w jej niespożytej tajemnicy: onem „maleficium taciturnitatis“, które go czyni objętym i znieczulonym na wszystkie męczarnie życia, odpornym na wszystkie jego nawet

nice, wszystkie jego piekielne zakusy zmiądzenia duszy twórczej, która mu jego nadwartość wykrada.

Autoportret Rembrandta w późniejszym wieku, kiedy już nie sadowił sobie na kolana głupiutkiej Saskii, kiedy zdawało się, mierząc strychnulcem mózgu mieszczkańskiego, do szczętna ruina majątkowa powinna go była zmiądzić, a on, jakby się losy jego życia daleko, daleko gdzieś w nieskończonej dali poza nim były rozegrały, ukazuje się nagle w wielkim majestacie potęgi twórczej — autoportret Böcklina, który się dźwignął z śmiertelnej choroby, jeszcze sparaliżowany nadśluchuje z kpiną poszeptom śmierci, któraby go przerazić chciała: Cóż jego śmierć obchodzi? „Tod ich kenne Deinen Stachel!“ — autoportret Wyspiańskiego — ten ostatni — w którym potężna dusza „chmurnie i górnje“ tryumfuje nad gnijącym, rozkładającym się cielskiem!

Tak pojęty autoportret odsłania mi na oścież głąb duszy twórcy, a gdy się w niego wpatrzę, całą współtwórczą duszą w niego wniknę: już w najciemniejszych krużgankach jego duszy nie pobłądę.

Pokuszę się o taki autoportret mej duszy twórczej, która jedynie człowieka, mającego coś wspólnego z moim tworem obchodzić może — a w tej chwili stoi mi przed oczyma autoportret Van Gogha: w najsurowszych zarysach,

w najprymitywniejszych płatach barwnych plam,
o ślepych oczach, bo na wewnątrz zwróconych:
cóż go to zewnątrz obchodziło?

Przyszedłem na świat roku Pańskiego 1868,
7 maja, w równinie, płaskiej jak stół — gdzieś,
gdzieś tam w dali majaczy się mały Łakociński
lasek — ale za to, gdym dzieckiem jeszcze
był, Gopło podpływało na wiosnę i pod jesień
stodółkę mego ojca zabrało.

Gopło!

Mam czasem wrażenie, jakby ono we mnie
było, bezustannie słyszę łoskot jego wzburzo-
nych bałwanów — o! takim najwięcej Gopło
ukochał — słyszę podzwonne pacierze pod za-
chód słońca jego szerokich, długich, monoton-
nych fal, wpatruję się w jego szklistą prze-
strzeń podczas ciężkich, upalnych skwarów,
kiedy całe powietrze w ogniu się żarzy i sypie
się nań deszczem djamentów.

Widzę je rozjuszony, wściekły pod ulewą
piorunów straszliwych burz letnich, które wła-
śnie okolicę Gopła tak często nawiedzają,
i znowu ukołysane mocą takich tęcz, które
według podań ludu, cielaki z okolicznych łąk
w siebie wchłaniają.

Dwakroć razy w nim się topiłem, ale za
każdym razem z dobrotliwym uśmiechem od-

dało mnie matce ziemi, w której ma dusza
najgłębszymi korzeniami tkwi.

Jakby tą ziemię opisać?

Bezustannie się kusilem, by jej czar nie-
porównany słowem oddać — napróżno — a
przecież to ziemia, którąby małe dziecko paru
kreskami narysować potrafiło.

Trzeba ją tylko widzieć na wiosnę, gdy
rzepik kwitnie i już na kilometr zapach pól
rzepikowych człowieka odurza, widzieć ją pod-
czas żniw, kiedy ciężkie bicze pszenicznych
kłosów w wietrze od Gopła się kołyszą, wi-
dzieć ją, tak zżytą z człowiekiem, że staje się
najgłębszą istotnością jego duszy: nigdy nie
widziałem człowieka tak kornie i tak żarliwie
rozmodłonego podczas oktawy Bożego Ciała,
nigdy tak strojnego podczas Zielonych Świą-
tek i nigdy tak ponurego, takimi głębokimi,
pokutnymi żarami „Gorzkich żali“ przejętego,
jak moją ziemię.

W małym kościele — w Górze, — słysza-
łem zawsze ziemię, która litanję odmawiała,
a chłopstwo z jękiem wołało: Zbaw nas Panie,
wysłuchaj nas, zlituj się nad nami!

Ziemia krzyczała: „Wesoły dziś dzień nam
nastał!“ i ziemia płakała w wielki piątek prze-
pięknym hymnem — może najpiękniejszym, na
jaki było duszę polską stać: „Zawitaj mi gło-
wo święta w ciernistej koronie!“

I ziemia cała była rozpaczoną, straszną su-

plikacją, która mnie, dziecko co nocy budziła podczas cholery w 1873 roku, kiedy procesje przeciągały po przez wieś od jednej do drugiej:

„Święty Boże, Święty Mocny!“

I temu rozpaczliwemu skowytowi ziemi zawdzięcza Polska jeden z najwspanialszych utworów, jaki się kiedykolwiek z piersi twórcy polskiego wydarł: Jana Kasprowicza hymn: „Święty Boże, Święty Mocny“...

Miedza dzieliła wieś rodzinną Kasprowicza od mojej.

Gopło, które właśnie w Łojewie, mojej wsi rodzinnej się kończyło — czy też rozpoczynało — wysychało wskutek wycięcia lasów, więc pełno naokoło niego grzędawisk, torfowisk, bagien, małych moczarów, przepaścistych stawów — a to wszystko porośnięte gęstymi lasami sitowia, tataraku, gęstwiny trzciny — a wszystko, pokryte tajemnicą „przepadlisk“, „uroczysk“, w których „zatopione dzwony“ głucho w Wielki Piątek jęczą, bo w wspólną podróż do Rzymu razem z innymi dzwonami wybrać się nie mogą.

Gdyby ktoś zadał sobie trud istotnego wnikięcia w mój twór, toby wszędzie ujrzał jako najgłębsze jego podłoże, tą ziemię piątego elementu, który Napoleon w Polsce odnalazł: jego słynne „la boue“, ziemię jednostajnych łanów „pozlaczanych pszenicą i posrebrzanych

zytem“, ziemię bagien i ugorów i pustynnych piasków — „mórz dziadowskich“ i rozszumiałych wańtuchów, miedzami rozgraniczonych pól — a gdzie wejrzysz w mój twór, ujrzysz wciąż i bezustannie włączając się duszę po samotnych polach ku zielskiemu porostom przydrożom, ku samotnym chałupom, rozwalonym płotom, szkliwem pokrytym stawom, bojarom, trzciną, sitowiem i kępami rogoży porostym rzeczkom, ujrzysz błędzącą duszę po nadziemnych ścieżynach, obsadzonych rozsochatami wierzbami, po w dali gubiących się skrętach miedz, po w życie wydeptanych ścieżkach, wzdłuż rowów kanału i wertepach maleńkich zagajników, lub też na przelaj po przez wysoką trawę łąk nadgoplańskich i gęstwinę zielską ku onym zapadłym wioskom: samotnym zagrodom chubiarskim na piaszczystych wydmuchach, w których reszta szaraczkowej szlachty dogorywa.

Trzeba mnie dobrze zrozumieć — może to nie tak łatwo — postaram się dać w obrazie klucz do porozumienia się wzajemnego:

Otóż tak samo, jak promienie słoneczne przedzierają się przez atmosferę, całkiem jej nie rozgrzewając i dopiero ziemię dosięgnąć muszą, by światło się na ciepło przetworzyć mogło, a ziemia, słońcem zapłodniona, powietrze ogrzała — całkiem w ten sam sposób każde wrażenie z zewnątrz, jakie odbierałem,

musiało się przedrzeć aż do tej istotnej głębi mojej duszy, to znaczy mej ziemi, która duszę moją w pewne kształty ujęła, aby z niej nabrać ciepła, specyficznego zapachu i tej barwy, którą od ziemi reflektowany promień słońca otrzymuje, i te to czynniki] stanowią istotę mego tworu.

W moim tworze odnaleźć można li tylko te wrażenia ze zewnątrz, które przez ziemię zapłodnione zostały i przez zetknięcie się z nią nabrały gorąca, barwy i siły — i stąd pochodzi, że wszystko, co mej ziemi nie dotknęło, nigdyby w mej duszy „twórczem“ stać się nie mogło.

Szukacie w mym młodzieńczym tworze jakiejś obcej kobiety, którą gwałtownie nawet imieniem opatrzyć pragniecie i palcem na nią wskazujecie —

Brednie!

To projekcja mej stęsknionej duszy, która wytwarzała sobie te tylko formy, któreby ziemia moja do siebie przytulić, w siebie wgarnać i je jako płód twórczy z siebie w wszechświat wypromieniować zechciała: to projekcja mej duszy, najgłębsza jej tęsknota, tem głębsza i boleśniejsza, i coraz silniej się uświadamiająca, w miarę, gdy przyszło żyć na obcej ziemi i z obcymi ludźmi.

Projekcja najzarliwszej mej tęsknoty, to te widziadła w „Wigiljach“, „Nad morzem“, w „Agaj“

(„De profundis“); tęsknota, wybiegająca hen daleko poza przyziemne życie i jego maleńką marność stworzyła „Wigilje“, przeddzień wielkiego wyzwolenia, w zmartwychwstaniu Abla, którego głupi, samczy Kain na jedną chwilę w swej duszy uśmiercił — (dziwna rzecz, że nikogo nie zastanowił sam tytuł, który przecież wszystko tłómaczy) i ta sama tęsknota każe księciu w „Androgyne“ zrywać z wszelką rzeczywistością i rzucić się w odmęty wieczności, z której wyszedł i po bezcelowych szukaniach i błędzeniach do niej powrócić pragnie.

Wszystkie moje „poematy“ stworzyła jedna tęsknota i jedno pragnienie, z taką żarliwą mocą wyrażone przez Ruysbrocka Admirabilis: „Il faut que je me réjouisse au dessus du temps... quoique le monde ait horreur de ma joie et qua sa grossièrté ne sache pas ce que je veux dire“.

I na tych samych „skałach oceanowych“, na których przedemną stał Słowacki, stałem i ja, biedny pigmej, gdym tworzył „Nad morzem“, „abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego“ i szukał dla niego mirażowego celu w „Androgyne“.

Niestworzone banialuki wypisywano o wpływie Nietzschego na moją twórczość — nikt wiodocznie nie zadał sobie trudu czytania mojej pierwszej broszurki, pisanej po niemiecku przez dwudziestoletniego chłopaka: „Zur Psychologie

des Individuums“ Chopin und Nietzsche, w której na kilka lat przedtem, zanim w Polsce o Nietzschem słyszano, poczyniłem z nim zbyt młodzieńcze wprawdzie, ale szczere obrachunki — to jedno jednakowoż wstrząsnęło po on czas do głębi mą duszę i stało się dominantą wszystkich moich pierwszych poematów: jego potężny hymn do wieczności, który bezustannie brzmiał mi w uszach:

„Nie noch fand ich das Weib, von dem ich Kinder mochte, es sei denn dieses Weib, das ich liebe: denn ich liebe Dich, oh Ewigkeit!

„Denn ich liebe Dich, oh Ewigkeit!“

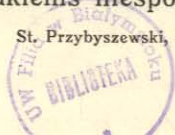
Ta wyrrywająca się tęsknota z „la sale corvée de la vie“ w mroczne pozaświaty, kędy ma się dokonać cud zlania się dwóch rozłączonych pierwiastków w Jednię — w jedno boskie „Ja-Ty“: to stworzyło moje poematy, o których się tyle potwornych bredni nasłuchiwałem i nazywałem, i ta sama tęsknota uświadomiła mi na obcej ziemi moją ziemię w sobie i kazała mi w Hiszpanji pisać: „wszystkie te cuda oddałbym z rozkoszą za kawałek ziemi tam gdzieś nad Gopłem“.

Ilekoć razy spoglądam wstecz w najrychlejsze lata mego dzieciństwa, zawsze i wszędzie napotykam na jedno przemożne uczucie, którym moja dusza cała po brzegi wypełniona była, i zawsze i wszędzie widzę we wszystkim,

com przeżywał, ku czemu dążyłem, w którą stronę się zwracałem: głębokie ukochanie Bólu i Cierpienia.

Charakterystycznym w najwyższym stopniu dla mej twórczości, to krótki, żarliwy wiersz, który napisałem, gdy miałem lat 16-cie, a w którym Boga proszę, by stokroć razy większe cierpienia na mnie zesłał, jak te, którymi Syna swego nawiedził.

Gdy dzieckiem jeszcze byłem, odrywała mnie nieokreślona, drżąca, niespokojna tęsknota od zabaw moich współrodziców; gdy bracia moi i towarzysze szkolni budowali fortece ze śniegu, ja uciekałem w najdalszy kąt ogrodu, by przysłuchiwać się, jak dzwony z pobliskiego kościoła w Górze „płyną i płyną tą rozplakaną godziną“ na Anioł Pański po przez szerokie obszary niebieściejacego w zmroku śniegu — stąd tak głęboko ukochałem Szopenowskie preludjum Nr. 2 (A-moll), w którym lewa ręka w zdumiewający sposób to tajemnicze bicie dzwonów oddaje, a prawa błędzi szlakiem jakiejś głuchej, niejasnej, ciężko rozżalonej tęsknoty — a, gdym stanął w furtce ogrodu i oczy moje wybiegały daleko poprzez łąki, czarne torfowiska ku sąsiednim wsiom, aż hen w dal ku majaczącym się zarysom Inowrocławia, a raczej jednej tylko kamienicy, która stała na wzgórku i dla tego widną była, serce dygotało jakimś niespokojnym pragnieniem, wyrrywają-



cem się w dal ku niezrozumiałym a utęsknionym celom — znacie pierwsze Szopena preludjum — to niesłychane „Agitato“ w „C-dur?“ — a najciężej gnębiła mnie tęsknota, gdy późną jesienią tygodniami całymi „kapuśniak“ padał i na szybach dzwonił i ich mgłą tysiącami bruzd rozorywał — na wieś wyjść prawie nie było można, bo drogi zamieniały się w katuze głębokiego błota, tłusty czarnoziem kujawski przemieniał się w błotne przepadliska, w których szczeniaki topiono, wozy w nich grzęzły, a człowiek po kolana w tym piątym elemencie zapadał: Och! wtedy bezwiednie śpiewała dusza dziecka to beznadziejne czwarte preludjum (E-moll). I „smutno niańki rozśpiewały się“ w duszy dziecka, gdy w ukochanym ogrodzie liście żółknąć jęły, gdy wszystkie owocowe drzewa chorym przepychem barw się rozżagwiały — najmilszą moją zabawą było z tych liści jesiennych, płonących jaskrawym bogactwem jesiennych barw, spinać z pomocą suchych traw wianki, którymi wieńczyłem złoconego Zbawiciela, rozpiętego na dużym krzyżu w szkole mego ojca: Lento assai (H-moll).

Ale niczem ta tęsknota wobec tej, która mnie nawiedzała podczas pełni księżyca. Ni jako sobie wtedy rady dać nie mogłem, coś mną całego skręcało, dławilo mnie, niepckój mną targał, wyraźnie czułem: uciec przed samym sobą! A czemżebym mógł lepiej określić

ten stan, jak tem zdumiewajacem preludjum 14-tym (Es-moll)?!

Więcej może, niż którakolwiek dusza twórcy jest właśnie moja związana z — Kościołem.

Niedaleko od wsi mojej rodzinnej stał na małym wzgórku — stąd nazwa tej wsi: „Góra“ — kościół, fundowany przez przodków Józefa Kościelskiego.

Do dziś dnia błądzi moja dusza w wszystkim, co mi się tylko pod pióro nasuwa, naokół tego kościoła i nigdzie — w żadnym przybytku tak często nie przebywa, jak w tym zwykłym wiejskim kościele, jakich tysiące jest w Polsce.

I rzecz jasna: nie lubiłem zwykłych niedzielnych mszy — nie lubiłem odpustów i wszelakich uroczystości, natomiast namiętnie kochałem nabożeństwa, które się na wsi już o zmroku po ukończonych robotach polnych odbywały: Oktawę Bożego Ciała, Majowe Nabożeństwo, Zaduszki, a przedewszystkiem Wielki Piątek.

Niczem dreszcz, który odczuwam przy najgłębszych objawieniach sztuki wobec dreszczu, który mnie przeszywa na wspomnienie olbrzymiej pieśni „Święty Boże, święty Mocny“ podczas oktawy w chwili, kiedy ksiądz Najświętszy Sakrament podnosi, niczem Trystan i Isolda, Wagnera wobec „Witaj Królowo!“, gdy spuszcza ją trumnę do grobu i niczem rozpaczna pieśń Beethovena: „In questa tomba oscura“ wobec

wielkopiątkowej pieśni: „Dobranoc głowo święta Jezusa mojego...”

A wszystko to razem — bezgraniczne, szerokie monotonne przestrzenie, upiorny prawie urok Gopła, moczarów i torfowisk, niewysłowiony czar nocy księżycowych, tajemnicze rozmowy srebrnych topól i wierzb przydrożnych, z niczem nie dająca się porównać hipnotyzująca moc i siła obrzędów kościelnych — wszystko to wytworzyło w duszy dziecka — oczywiście tylko takiego, które przekleństwem twórczości obarczone zostało — pewne zasadnicze, gotowe już formy, w które już wszystko to, com potem jako już dorosły człowiek przeżywał, z natury rzeczy się wlewało:

To, com przeżył — to nie przeżycie, ale przedodczuwanie — stało się barocentrycznym jądrem naokoło którego wszystkie późniejsze wrażenia, wszelakie duchowe objawy krążyć poczęły, wszystkie późniejsze i najdalsze uczucia specyficznie zabarwiały, im ten właśnie a nie inny kierunek nadały, tak jak przez magnes chaos żelaznych opiłków uporządkowany i na dwa bieguny rozsyłany zostaje.

Tęsknota była w mej duszy tym osadem, przez który się każde uczucie przefiltrować musiało i dopiero wtedy przezeń swoje zabarwienie i posmak zyskiwało. Tęsknota była i jest w mej duszy niejako morzem promieniejącego

ciepła, które wszystko we mnie rozkładało: w mej duszy stawało się wszystko tęsknotą.

Cały mój twór tkwi w tęsknocie!

I to w tęsknocie, w szamocących się zapasach wyrwijającej się od ziemi duszy. Stąd to niezmierne ubóstwo przyziemnej fabuły w moim tworze: raz poraz mała jakaś anegdotka życiowa, posłyszana, albo wyczytana służy jako pretekst do rozsnuwania dalekich perspektyw, wybiegania poza granice Zjawy, pławienia się w ciemnych morzach przeczualnego Bytu.

Zakamieniałość i zatwardziały opór czarownic, które mimo najstraszniejszych męczarni na najwyszukańszych torturach swego stosunku z Szatanem ujawnić nie chciały, a równocześnie okazywały takie znieczulenie na najsroższy ból fizyczny, że wśród męczarni, któreby każdego innego człowieka o śmierć przypawiły, spokojnie zasypiały, przypisywano szatańskiemu amuletowi: „maleficium taciturnitatis“, gdzieś w „wstydlivych miejscach“ czarownicy ukrytemu.

A krytyk, czy też tak zwany „historyk literatury“ dzisiejszej doby, jest bezwstydniejczy od średniowiecznego kata, który golił czarownicę na całym ciele z każdego włoska, by wynaleść to piekielne „maleficium“, w którym szatańska cała jej potęga i moc spoczywała. Na tę procedurę nawet szlachetny potwór, jakim

był Sprenger, twórca „Malleus maleficarum“ (Młota na czarownice) się oburza.

Głupie to, bezwstydne i bezcelowe, bo tajemnicy tworu nie dowiesz się skrzętny zbieraczu anegdot, dat, życiowych przejsć, choćbyś odnalazł w życiu Słowackiego jeszcze jakąś nieznaną miłośćką, lub w życiu Szopena jeszcze jakiś szczegółik, dla którego zerwał stosunek z panią George Sand.

Jaką krzywdę, te bezduszne hyeny, rozgrzebujące zewnętrzne życie artysty swoimi niedorzecznymi komentarzami jego utworowi przynoszą, wiem z doświadczenia — wywołało to moje przedmowy do mych dramatów: „Gody Życia“ i „Topiel“ i z tej samej konieczności zatrzymałem się dłużej przy młodzieńczym moim tworze.

To, czego tępy historyk literatury — a właściwie oprawca-golarz pojęć nie jest w stanie, to zdumiewający cud tajemnych transformacji *wrażeń*.

Twórca odbiera jakieś przypadkowe wrażenie z świata zewnętrznego: namacalne, widzialne, ogarnięte pięcioma zmysłami: obojętne samo w sobie — dopiero, gdy to wrażenie dotrze do tego węzła wszystkich zmysłów, gdzie wszystkie razem stają się Jednią, wtedy staje się to „wrażenie“ twórczą jednością.

Tym węzłem, w których wszystkie moje

wrażenia, słuchowe, dotykane, widzialne, powonieniem odebrane zlewały się w twórczą Jednię: to moja Ziemia.

A ogarnąć mogła tylko to, co swem ciepłem rozgrzać, o własnym zapachem przeżyć i co własną barwą upysznić mogła.

Wiedziałem o tem, gdym tworzył moje pierwsze rzeczy — losy mego życia gnały mnie tam i sam na wszystkie strony — i dla tego z mej tęsknoty za nią, z najgłębszej miłości za moją Pra-Matką ciosałem dla niej z drzewa lipy naszej lub topoli, lub przedewszystkiem wierzb przydrożnych dziwożony, nic a nic nie mające wspólnego z żyjącymi istotami.

Widziałem morza — widziałem Ocean, ale Ziemia moja: najgłębszy pokład duszy mej — patrzyłaby obojętnie na morze, gdyby nie to, że te wszystkie morza — to właściwie tylko olbrzymie Gopła.

Widziałem góry i Tatry i Alpy i Apeniny — dusza moja ich nie przyjęła, bo nie zna gór. Przyjęła je świadoma recepcja kulturalno-artystyczna, ale nigdy ta dusza moja — „naga.“

Czyż to tak trudno zrozumieć?

Nie życie kształtuje duszę twórcy, ale wręcz na odwrót. Dusza twórcy urabia sobie życie — jak czasem — raz w kierunku dostojeństwa, powagi, ogólnego uznania i najgłębszego szacunku współbliźnich, to znowu w kierunku najcięższego cierpienia, ponieważ, lek-

ceważenia — zależy to od większego, lub mniejszego sprytu życiowego artysty — ale cóż to z jego twórczością ma wspólnego?

Cóż ma potężny twór Edgara Poe z jego alkoholicznymi deliriami do czynienia, a Baudelaira objawiania z jego nałogiem haszyszu? potęga tworu Dostojewskiego z jego zbrodniczą epilepsją, lub niesforny, wiecznie tarzający się między rozpaczonym obłędem a rozpasaną hulatyką sposób życia Verlaine'a z tym cudownym, archanielskim wykwittem jego duszy: „La sagesse?!“

Ale wracam do rzeczy:

Wrażenia, odebrane ze zewnątrz, kojarzą się w duszy twórcy nie według ich treściwych i obiektywnych wartości, ale jedynie według współmierności skali uczuciowej, jaką wyrażają, a które wtedy jedynie twórczemi się stają, jeżeli znajdą oddźwięk w jego duszy i są jej założeniu „adaequat.“

Stąd pochodzi, że dwa — na pozór całkiem odrębne — wrażenia mogą siłą swej wartości uczuciowej znaleźć w duszy artysty ten sam rezonans: barwa może się w linję przekształcić, kształt w powonienie, wrażenie słuchowe w barwną plamę: korelaty uczuć odpowiadają jak najzupełniej agregatom w świecie tak zwanym chemicznym: woda zamienia się w parę, w śnieg, grad, lód, w siłę elektryczną — a to wszystko tylko H₂O.

Ale dosyć tych teoretycznych wywodów. Musiałbym to wszystko powtórzyć, com pisał w dwóch pierwszych tomikach: „Zur Psychologie des Individuums“ Szopen und Nietzsche — „Ola Hansson“ w całym tomie: „Na drogach Duszy“, „Z gleby Kujawskiej“ — „Szopen a Naród“, a przedewszystkiem ostatnio w najdojrzałszem i najwięcej uświadomionem pod względem syntezy myślowej dziele mem: „Szlakiem Duszy Polskiej“ — musiałbym przepisać to wszystko, co ogłosiłem jako wstęp do tłumaczenia mej żony Jadwigi: „Alrauny“ Ewersa — ale sądzę, że ta wskazówka, gdzie trzeba zasadniczych podstaw mej duszy szukać, uwalnia mnie od mozolnego i przykrego trudu powtarzania się samego siebie, lub pisania „wariacji“ na ten sam temat, wiecznego parafrazowania tego, co jest w mej duszy istotnem.

Do tych utworów zwracam uwagę mego czytelnika, żadnego zrozumienia mego tworu, a nie wstrętne „ekshibicionizmu“, alias autobiografii w rodzaju bezwstydných wynurzeń Rousseau lub Strindberga: „plaidoyer d'un fou“ („Beichte eines Thoren“), której sam się wstydział i twierdził, że rzecz przeznaczona do „archiwum“ rodzinnego wbrew jego woli i bez jego wiedzy drukiem ogłoszoną została.

Właściwą moją autobiografię napisałem już w tej książce, którą za najważniejszą dla moich przeżyć duchowych uważam: „Szlakiem duszy polskiej“ *) w rozdziale, zatytułowanym: „Intermezzo, czyli czerwona chusta“.

Piszę w tym ustępie, że nieporozumienie między mną, a mojem społeczeństwem zostało wywołane nie tylko złą wolą, niechęcią i protestem duszy zbiorowej przeciwko moim buńczucznym manifestom w sprawie „Sztuki“, ale w części nierównomiernym stosunkiem między moją siłą twórczą, a wybuchowymi porywami tęsknot i pragnień mej duszy.

Szczerze się tam z tego spowiadam, że w młodzieńczych utworach moich wizja rzeczy ziemskich otrzymuje tak dominującą przewagę, iż częstokroć zawala podłoże ideowe — wizja ziemskiego piekła narzuca się z tak sugestywną mocą, że zapomina się o drodze tej „nagiej duszy“, którą bym ja — twórca — czytelnika poprowadzić pragnął, a ja sam, porwany wirami, opisywanych przez siebie ziemskich wydarzeń — środków do celu — przejawiam je do tego stopnia, że zasłaniam nimi rozległy, wiekuisty horyzont, do którego jedynie zdążałem.

I istotnie: kiedy odczytuję moje młodzień-

*) „Szlakiem Duszy Polskiej“. Nakładem Ostoji spółki wydawniczej. Poznań 1917.

cze utwory, aż het po mój trzydziesty rok życia, widzę w nich wprawdzie bogactwo, na które mnie i dziś, w znacznie spotęgowanej sile stać, ale również dobrze widzę, że nie zawsze umiałem okiełznać rozhukaną wyobraźnię, że huragan burzliwej mej duszy ponosił mnie i miotał mną i rozrywał formy artystyczne, w które pragnąłem zakłąć „tornada“ namiętych usiłowań. by dać zawartość mej duszy: naczynia, w które wlewałem żar mych porywów ku wieczności, nieraz pękały i nie zawsze udawało mi się przyziemność w czystym symbolu oddać.

I cały ten twór jest prawie klasycznym przykładem zaciekłych walk i szamotań się pomiędzy „lirycznym“ i tylko w sobie wpatrzonym ego-ipsizmem, a gwałtownym pragnieniem wżycia się w wszechludzką duszę, wniknięcia w nią do samego dna, stopienia jej w ogień własnej miłości i mocą tego żarliwego współbytu rozpoznania innych jeszcze strun duszy ludzkiej, prócz tych, które w mej własnej rozbrzmiewały.

Zawsze się w tych pierwszych utworach kłóciła forma nowelistyczna z czystym liryzmem: gdzie ten ostatni przeważał, wątek nowelistyczny stawał się tak nikłym i błahym, że całkiem się w lirycznym rozlewie gubi, gdzie znowu odgrywa dominującą rolę, zaciera się w znacznej mierze symboliczny pierwia-

stek, jakim chciałem całokształt zawartości własnej li tylko duszy oddać.

I zawsze krępowała mnie ta forma, która może właśnie dla swego bastardycznego charakteru, w pierwszej chwili taką sensacyjną uwagę na siebie zwróciła: zdołałem ją wreszcie rozerwać i skierować mą duszę w to szerokie łożysko, jakie sobie już w ukryciu w ciężkim trudzie złobiła.

A dopełniło się to wtedy, gdym wreszcie po długim szukaniu, błakaniach się po manowcach i rozstajnych drogach zetknął się z tą inną duszą, którą moja własna w głębokiej miłości przyjąć i z nią się złąć mogła, bo była objawieniem i najgłębszym wyrazem najistotniejszych form, w jakich zawartość mej duszy ujętą została — i teraz dopiero w tej D w ój — Jedni rozegrały się w niej tajemne, nie słyszane dotąd struny, zapłonęły gorącym światłem nieprzeczuwalne blaski, wyłonił się przed zdumionymi oczyma, mgłami dotychczas spowity, nowy obszar duszy w swej dostojnej piękności.

I tu w tym miejscu jest jeden moment czysto-autobiograficzny, dla zrozumienia całości mego tworu bezwzględnie potrzebny.

Obcowałem do tej chwili z duszą kobiety, całkiem mi obcą i daleką, i dla której również byłem z natury rzeczy obcy i daleki, a to, co w mojem „Epitaphium“ po jej śmierci napisa-

łem, zrobiłem jedynie i wyłącznie dla dzieci, by je uchronić przed konsekwencjami błędów matki, w tem mniemaniu, że będą w polskim społeczeństwie chowane. I to tłómaczy całą tą nieszczerą, przesadną i w błąd wprowadzającą frazeologię, jakiej użyłem w tem pośmiertnem „homagium“. W rzeczy samej przestawałem w tej obcości tego współzycia, na obcej ziemi i między całkiem obcymi mi ludźmi jedynie li tylko z samym sobą i byłem całkiem na łup trawiącej tęsknoty za odwrotnym brzegiem oddany.

Raz po raz przewłóczy się jakiś mglisty majak, w ciężkich snach wytęsknionej postaci, którą żarem mej tęsknoty daremnie ożywić pragnąłem — wyciągają się błagalne ramiona, by jakiś nagle wyrastający cień do czegoś rzeczywistego przykuć, ale bezradnie znowu opadają w odnalezieniu samego siebie w pierwotnym androgynizmie, o jakim Plato tak pięknie w swoim „Symposion“ majaczy — szuka człowiek „Wigilii“, „Nad Morzem“, „De Profundis“ jakiegoś ukojenia i wyzwolenia z tej ciężkiej udręki gorączkujących snów.

Ale przeciwko temu unicestwieniu najpotężniejszych instynktów życia w jałowym zasklepieniu się jedynie tylko w samym sobie, zaprotestowała jak najusilniej dusza człowieka: wyznaczone były jej inne cele, przeczuwał bogactwo strun, które tylko dotknięcia ich wycykawał, by rozgłośnie rozbrzmieć mogły.

Wówczas znalazłem duszę, w której się moja własna zanurzyć mogła, w jej głębi skapać i przez jej ból i jej cierpienia odczuć inne cierpienia, inne tęsknoty i pragnienia nad moje własne — przez nią wkroczyłem w ogromny obszar duszy wszechludzkiej, pokochałem jej cierpienia, bóle, tęsknoty, jej rozterki i wyzwolenia, rozzagwiliłem je własnym twórczym tchnieniem i świat cały obejmującą miłością i jałem wgaraniać w egotyczną dotychczas duszę moją ten nieprzeczuwalny bezmiar cierpienia i udręki, wyzwalań i wniebowzięć, które w całym wszechbycie są rozlane:

Odsłoniła mi się tajemnica, która stanowi z w i ą z e k między mojem Ja, a „TY“ i zrozumiałem, że jedna tylko droga prowadzi do ujęcia tego „Ty“, już nie przez pojedynczą jednostkę wyobrażalną, ale cały świat ogarniające — a tą drogą to „Miłość...“

Zapewne podpadło ogólnej uwadze bezuśtanne poświęcanie moich utworów mej żonie Jadwidze.

Otóż te dedykacje były i są nie tylko aktem miłości — były i są czymś więcej jeszcze: długiem wdzięczności dla kobiety, która przy swej wysokiej kulturze artystycznej wszystko, co tworzę, razem ze mną przeżywa, niezwykła jej intuicja twórcza moje intencje w lot odgaduje, a często jednym słowem to mi poddaje, cobym dopiero usilnym myśleniem z siebie wydobyć zdołał.

W tem zetknięciu się z jej duszą ozwały się nagle nieprzeczuwalne struny, jakimi we mnie niebo i ziemia, moje Ja z całym wszechświatem jest związane i rozegrały się nieznaną dotąd, a tak gorącą pieśnią miłości dla wszystkiego, co cierpi, co łka i płacze i zawodzi rozpaczą i wywalać się pragnie poprzez grzech i zbrodnię, poprzez nędzę, wszczepioną przez nieznaną potęgę i krwawiące się serca ludzkie z pieśnią, która nie zna granic między dobrem, a złem, rozbrzmiewa li tylko jednym współczuciem i współzyciem: ciemne dotychczas obszary życia tego „Ty“ gorąco się rozświetliły, a nieboskłon własnej mej duszy, który się już zmierzchem obciążać począł, nagle rozłutnił się w porannej zorzy.

I teraz zrozumiałym się stanie w całej pełni i głębi, hymn pisany do żony mej Jadwigi przed dwunastu laty, poprzedzający mój dramat — poemat: „Odwieczna Baśń“: hymn, który jest najgorętszą spowiedzią mej duszy i w którym jest zawarta cała moja „autobiografia“ — a wszystkiego tego, com dotychczas powiedział, nie zdołałbym głębiej i jaśniej usymbolizować, jak to uczyniłem w poemacie — noweli mojej: „Powrót“.

Tu wydobyłem na jaw one tajemnicze, ukryte, najtajniejsze związki, jakie zachodzą między duszą kochającej kobiety, a duszą twórcy, tu dałem tą tajemną transformację ze-

wewnętrznych kształtów ziemi — nagle przez miłość ujranej i w całym jej ogromie objawionej — w najgłębszym jego wewnętrznym przeżyciu i tu dałem tę cudowną transfigurację zewnętrznego kompleksu barw, kształtów, dźwięków, tchnień i zapachów ziemi w jednym wielkim, wewnętrznym akordzie, który istotę tej miłości stanowi i przez którą dla niego nowy świat się odsłania.

I otóż dojrzała dusza moja ku tym granicom, które jej od początku wyznaczone były: niespokojną, rozwichrzoną szarpaninę zastąpił szeroki, dojrzały spokój — skłębiony chaos zapamiętałych, ogniem i żarem buchających słów, jał się rozścielać świetlistą łuną na szerokich widnokręgach, gmatwanina wklinowanych w siebie symbolów — nieoczyszczona jeszcze ruda — rozpostarła się w jasnej przejrzystości: twór mój wzmógł się niepomniernie, rozrósł się i rozszerzył i coraz dalsze ogarniał widnokregi.

Teraz dopiero powstał cały mój twór dramatyczny: w pierwszym rzędzie „Złote Runo“ i „Goście“, w dalszym ciągu „Matka“, „Śnieg“, „Odwieczna Baśń“, najdojrzalszy, najwięcej w sobie zwarty a prawie całkiem nieznan dramat „Śluby“ — dalej „Gody Życia“, „Topiel“, „Miasto“...

I teraz dopiero powstał szereg moich „po-

wieści“ — właściwie nie „powieści“ — to byłoby nieporozumieniem — ale utworów, dla których pierwotna forma, w której jeszcze tą młodzieńczą zawartość mej duszy odlewałem, była za ciasną: przysły obręcze i szerszym łożyskiem rozlał się strumień mojego „Ja-Ty“...

I teraz nastąpiło to, o czym piszę w wspomnianym już wzwyż ustępie w książce mej: „Szlakiem duszy polskiej“, a który tu dosłownie przytaczam, bo w całym tym związku głębiej jeszcze zrozumiany zostanie:

„...a, gdy już w swoich dojrzałych utworach całkiem się odnalazł, Przybyszewski — gdy koryto jego myśli niepomniernie się pogłębiło, gdy w najpiękniejszym i najdorzalszym swoim poemacie „Zmierzch“ daje dzieje duszy kobiety, wyzwalającej się ku wieczystym wyżynom, a w „Świętym Gaju“ znalazł najczystszy wyraz wyzwalań się przez miłość duszy mężczyzny-samca, brutalną przyziemnością spętanej, do absolutnej potęgi etycznej, gdy sie w „Odwiecznej Baśni“ wsłuchuje w wiekiusty głos wieczności i jej objawienia głosi, gdy w „Ślubach“ rozściela nad głowami udreńczonych dzieci Ewy swe kochające ramiona i błogosławi — „Cierpieniu Jutra“ — tam już posłuchu mu nie дано.

Sensacją były, chociaż niezrozumiane, rozdzierające krzyki szarpiącej się tęsknoty ku Nieznanemu — (a krzyk nie jest najwyższym

objawem siły twórczej) — ale wcale już nie słuchano, ani słuchać nie chciano skupionych, kornych modłów, któremi jedynie dojrzała dusza twórcy ku Wieczności się wzbija...“

Jedno tylko trzeba zrozumieć: to nie żal, ani rozgoryczenie, co w tych słowach przemawia, to tylko jedynie wskazówka dla tych, którzy istotnie z moim tworem chcą się zapoznać, by nie podlegali złudzeniu powstawania moich utworów w chronologicznym porządku i wedle tegoż je wartościowali, ale według ich wewnętrznej zawartości.

Wtedy dopiero osiągnie ten idealny, bo odtwórczy mój czytelnik odpowiedni i jedynie dystans do mojego tworu i wtedy dopiero przebiegając daleką i coraz więcej rozszerzającą się drogą, która prowadzi od pierwszych moich prób literackich: „Zur Psychologie der Individuums“ do „Szlakiem duszy polskiej“, z zdumieniem ujrzy, jak perspektywa, która w naturze im dalej spojrzysz, coraz więcej się zwęża, tu na odwrót coraz szerzej się odsłania — porównać tylko „Malstrom“ w cyklu powieści „Homo sapiens“ z „Zmierzchem“ — i nie trudno będzie mu ujrzeć tą samą odwróconą perspektywę, gdy przeczyta „De profundis“ i bezpośrednio potem, w formie temu dziełu pokrewny, obecny mój twór: „Krzyk“.

Ale cały mój twór jest jednolity i zwarty :

niema w nim odskoków, rozłamów, sprzeczności, — jest tylko bezustanny rozwój, pogłębienie, i rozszerzenie tego widnokregu, który dla mej twórczej duszy wyznaczonym został.

Każdy twórca przynosi z sobą na świat pewien i to ściśle ograniczony zasób duchowej potęgi, którą przez krótkość lub długość jego życia w ściśle ograniczonym czasie z siebie wyładowuje.

O żadnym twórcy nie można powiedzieć, coby on był jeszcze zrobił, gdyby dłużej żył, gdyby warunki, w jakich żył, były inaczej się ukształtowały — ja śmiem na odwrót twierdzić, że artysta właśnie tak długo żyje, jak długo tego jego twór wymaga, a warunki, w jakich tworzy, sam sobie bezwiednie wytwarza i to właśnie najodpowiedniejsze dla założenia jego tworu: częstokroć, patrząc z stanowiska człowieka tak zwanej „normy“, „poczucia ogólnie przyjętego prawa“ — jak najfatalniejsze, bezmiernie dla jego zewnętrznego życia szkodliwe, a najczęściej sławiające go poza nawias społeczeństwa, — twórca staje się męczennikiem swej siły twórczej, ale właśnie tego wymaga ta jego jedna predysponowana droga, która żadnych odchyłań nie znosi.

Którykolwiek z twórców chce się wyzbyć tego krzyża, jaki na jego barkach „przeznaczenie“ złożyło, chce sobie ulżyć i z znojnjej

drogi na wydeptane zbacza ścieżki, nie godzien jest miana twórcy.

Droga, na którą Przeznaczenie moją twórczość pchnęło — tajnie jej wyroków próżnym się silił odgadnąć — może nie jest szeroka, może tylko wąziutka ścieżynka, ale była i jest niezmiernie ciężka i znojna, pełna rozpadlin i wilczych dołów, drożyna, na której wejściu stoi olbrzymi napis: „tędy chodzić nie wolno“, ale gdym raz na nią wszedł, idę w krwawym trudzie po niej dalej mimo dobrotliwych ostrzeżeń, mimo wyklinających mnie złorzeczeń, rozpacznych załamywań rąk i mimo to, że tuż obok widzę setki wygodnych ścieżek a nawet bity gościniec, którym mógłbym się nawet dostać do „grobow zasłużonych“.

I jeżeli cośkolwiek z mej twórczej działalności w ojczyściej literaturze pozostanie — na tem mi niezmiernie mało zależy — to w każdym razie to jedno, że stać mnie było na odwagę przełamania praw uświęconego „tabu“, a więc dotykać rzeczy, których tknąć „nie wolno“, stawiać się w poprzek uświęconym kanonom, społecznemu obłudnemu „Cant“owi przeciwstawiać nieubłagalną, a tak niezmiernie przykrą prawdę, a małej, wygodnej, małomieszczkańskiej moralności, która się zadowalnia nędznym liczmanem przez „prawo“ uświęconych pojęć „dobra i zła“ bezustannie przed oczy stawiać nienapisane, wewnętrzne prawo ukry-

tego porządku rzeczy, w którym pojęcia prawomocnego „dobra“ i „zła“ całkiem nie istnieją, natomiast jedynie tylko potęga uczucia bez względu na to, jakie skutki z zachowania tego z pod „prawa“ wyjątego Zakonu wynikną.

Nad tem właśnie tak się szeroko w mojej przedmowie do bardzo mi swoją drogą zbliżonego Ewersa w jego utworze „Alraune“ rozwiodłem, że nie widzę potrzeby tu teraz tego powtarzać.

Może być, że wniosłem do literatury polskiej „nieczysty“ ton, jak mniema zasłużony profesor Brückner w swej „Historii literatury polskiej“, a przed nim, i z nim razem twierdzą i prawdopodobnie twierdzić będą to samo wszyscy nasi historycy i krytycy literatury, może być, że byłem szkodliwym dla młodzieży i społeczeństwa — a któż nie był z samoistnych twórców, począwszy od Sokratesa, uwodzicielem młodzieży i zbrodniczym przełamywaczem „praw“? — może być, że mój tragiczny pesymizm płciowy zatrął czyściuteńkie dusze dziewic polskich, niejednemu smarkaczowi kazał się powoływać na mój aksjomat, że „niema winy“ t wskutek tego nie pojmuje „kary“ — ale cóż mnie to obchodzić może?

Idę moją drogą, a cel jeszcze daleki — i już z niej nie zбочę.

— Potomność o tem wyrokować będzie! mógłbym z emfazą wykrzyknąć — śmieszne!

Potomność moja nie będzie ani głupszą, ani mędrszą, jak dziś, nie będzie inną i po lat tysiącach — bo postęp jest absurdem — możliwą jest tylko przemiana istniejącej rzeczy: — wiekuistszą od prawdy, jest uświęcona głupota, dla tego ta ostatnia ma tylko prawo się odzywać i panoszyć, a prawda zbywana lekceważącym wzgardliwym uśmiechem: „ależ to stare jak świat!“ — więc nie o potomność mi chodzi w moim tworze, tylko o spełnienie wewnętrznego nakazu, a temu na chwilę się nie sprzeniewierzyłem.

Nie dużo jest strun na tej lirze, które więżą moją duszę między niebem a ziemią — kilka rozbrzmiało, gdym był sam, mnóstwo ich się rozegrało gdym znalazł się w tej świętej, błogosławionej Dwój-Jedni z duszą którą ukochałem i która mi się na oścież rozwarła, nie wiem ile ich jeszcze czeka dotknięcia twórczego tchnienia, to jedno tylko wiem, że pieśń mej duszy żadnym obcym dyszkantem zamąconą nie została, ani nawet zamąconą być nie mogła — może żaden twór polski nie jest tak obcy dla cudzoziemca właśnie jak mój: w sło-wiańskiej Rosyi, w bratnich Czechach, w Buł-garji i Serbii roi się od wydawnictw moich utworów, niema sceny w Rosyi, na którejby nie były grane moje dramaty, a żaden z nich

jeszcze nie zdołał się przyjąć na scenie niemieckiej, francuskiej lub włoskiej — i cóż Wy na to, wszechmocni krytycy, którzy mi obce wpływy przypisujecie?

Zresztą rozprawa z moimi krytykami zamąciłaby tylko powagę tego, co tu piszę — nagle przychwytnę się na pytaniu: „Dla kogo ja to piszę?“

Wybaczcie państwo — ale dla siebie samego.

Od trzydziestu lat zastanawiam się bezustannie nad „psychologią twórczości“ i usiłuję sobie zdać sprawę przedewszystkiem z mej własnej. I często, jak już wspomniałem, odczytuję mój młodzieńczy utwór — do jakiegoś 30-go roku i porównuję go z późniejszym.

Dla artysty, który przekroczył rok 40-ty, rok ogólnie uznany jako ten, w którym artysta dobiega zenitu swej twórczości, jest już trudno wżyć się w jego młodzieńczy twór. Gdy Goethe dobiegał pięćdziesiątki wstydził się swego „Werthera“ i „Götza“, — bezwzględnie największy liryk niemiecki, jakiego Niemcy od czasów Goethego wydały, współczesny nam Ryszard Dehmel, pisze w swojej przedmowie do zbiorowego wydania swych dzieł z okazji jego pięćdziesięciolecia, że spieszo mu z uporządkowaniem jego tworu, bo parę lat później już nie byłby w stanie ogarnąć całokształtu swego tworu i już z natury rzeczy pod spaczonym kątem widzenia musiałby nań patrzeć —

A więc póki słońca czas:

Nie przestałem być młodym i często, gdy się stykam z starczą literaturą „najmłodszych“ w Niemczech lub Francji — w Polsce tego objawu starych, przeżytych kultur jeszcze nie ma, — jestem zdziwiony, jakim cudem zdołałem zachować młodość i siłę uczucia: nie wstydzę się mego młodzieńczego tworu, widzę li tylko jego niedomagania, niedociągnięcia wskutek mało jeszcze rozwiniętych środków artystycznych, braku pogłębienia, ale między tym tworem, który w Polsce takiej wrzawy piekielnej narobił, bo był — fatalne świadectwo dla bezkrytyczności urzędowych polskich krytyków — opatrzony pieczęcią tej słynnej „Europcy“, przed którą Polska jeszcze dotąd w lokajskiej pokorze się siania, a zasię tym tworem dojrzałego artysty, na który z hyperkrytycyzmem patrzeć, uchodzi dziś za ostatni wyraz mądrości krytycznej, niema w istocie samej ani przerwy, ani nagłych odskoków, ani żadnych wywrotowych przemian, li tylko rozszerzenie i pogłębienie drogi, którą kroczę.

A może być, że jestem tylko meteorom, który na chwilę zabłyśnie, na chwilę ludzkość straszy i przeraża, a potem nagle ginie — szczęśliw byłbym, gdyby tak było.

Droga, meteorom wyznaczona, jest miliard razy dłuższa, aniżeli zwykłym gwiazdom. Te ostatnie jawią się w ściśle obliczonych cza-

sach — nie chciałbym być gwiazdą! — być meteorom, to istotna moja tęsknota: zniszczyć na swej drodze kilka światów, roztopić je w sobie, wzbogacić się nimi i po miliardach lat znowu powrócić, stokroć razy gorętszym blaskiem rozjaśnić, wieścić nowe przemiany i wywroty i znowu zaniknąć — to, to, co w moich najkosztowniejszych snach przeżywałem...

Niech zgasnę, czempędzej zgasnę, bym mógł tylko w wzmożonej potędze powrócić...

A wrócę — wrócę!

Monachium, październik 1917.

KRZYK

Cichaczem, z tysiącem przezorności skradał się Gasztowt do niepozornej kamienicy, w której znany handlarz obrazów młodym malarzom zbiorowe wystawy urządzał.

Nie myślał o tem, by mógł jakimś cudem wymódcz na tym piekielnym Shyllocku młodych, nieznanych jeszcze malarzy choć parę franków — to mu nawet przez głowę nie przeszło; prędzejby się w chwili delirjum głodu rzucił na pierwszego lepszego przechodnia, by go obrażować, zaczęłby z jakąś prośbą udać się do tego starego, łotrowskiego lichwiarza — nie! to nie to — tylko od chwili, kiedy handlarz drobnymi zaliczkami, jakimi się Gasztowt w najcięższych chwilach ratował, wymusił na nim groźbą likwidacyi wszystkich jego płócien, by ich wybór w jego „salonie“ wystawił, nie miał ani chwili spokoju.

Zdawało mu się, że jakieś świętokradztwo popełnił, że obrazy jego, wystawione na widok publiczny, splugawione zostaną, odarte z tajemniczego nimbu świętości, najgłębszego i najtajniejszego natchnienia, w jakim je tworzył: miał uczucie, jakby najukochańsze swe dziecko na ulicę był wygnął, by dla niego swą dziewiczą czystość zaprzedało — dławił go wstyd, miotłała nim wściekłość, że dał się podejść, obchlaływał się wzgardą, że sprzeniewierzył się najświętszej zasadzie, którą się dotychczas kierował, by nikomu nie pozwolić wejrzeć w tajemnice swych objawień.

A teraz szedł, aby ostateczny wyrok na siebie wydać: chciał ujrzeć te swoje obrazy, wyrwane z ścian jego atelier, zbezczeszczone oglądem bezdusznych, sadłem głupoty i bezmyślnej tępoty zatłuszczonych, ślepi — chciał się teraz sam w bioto wdeptać, że z duszy swej zrobił wstrętną ladacznice.

Szedł ukradkiem i bezustannie oglądał się za siebie.

Już od samego rana miał to przykre wrażenie, że ktoś go śledzi, podgląda, wśluchuje się w jego myśli — wgrzebuje się ostrożnie i cichaczem w ciężką rozterkę jego duszy, że i teraz za nim niewidzialny się skrada i za lada chwilę nagle przed nim stanie i plugawem szyderstwem w twarz mu bluzgnie...

Ocknął się nagle i lęk go zdjął przed tem

chorem przywidzeniem, które go niewypowiedziane męczyło.

Któżby go mógł śledzić? Dlaczego? Jeżeli jakąś zbrodnię popełnił, to chyba na samym sobie, a to już nikogo nic nie obchodzi — mózgowe zbrodnie, uczuciowe „harakiri“ na własnej duszy nie podlegają żadnej karze, więc niema powodu ich śledzić...

Otworzył drzwi kamienicy — raz jeszcze przystanął i obejrzał się, ale żywej duszy nie widział.

Przeszedł wązkim, niechlujnym kurytarzem i zadzwonił.

Ktoś mu otworzył, zapłacił pół franka „wstępu“ — ten ktoś się dyskretnie usunął i znalazł się w wązkim, marnie oszklonym pokoju — na jednej ścianie porozwieszane były jego płótna.

Przymknął przez chwilę oczy — jakby je zwolna przysposobić chciał do męczarni, które je oczekują.

Chciał sobie dokładnie uprzytomnić, jak dawniej jego obrazy wyglądały, a jakie je za chwilę oglądać będzie.

Pragnął stworzyć jakąś ogromną syntezę ulicy, dać jej wiekuiste symbole, odstąpić jej straszną tajemnicę, rozewrzeć ją do całego jej potwornego ogromu, pomieścić w niej wszystko, co w człowieku żyje, rzy z rozkoszy, wije się w konwulsjach bólu, tarza się w gnojówce rozpuszty, babrze się w posoce mordy i zbrodni,

chciał streścić życie całe w jednym ogromnym symbolu: ulicy, ogarniającej cały wszechświat, przecinającej cały glob ziemski na miliardy, biliony brudnych, paskudztwem wszelakim wypełnioną siecią kanałów, ścieków, w których się roi od obrzydliwego robactwa: symbol ulicy—stonoga, który rozwalił się ohydny cielskiem na biegunie globu i stoma, nie! miliardami nóg, ssawek, szczypców, kleszczy objął jego ogrom.

Otworzył oczy i wzdrygnął się.

Wszystkie jego obrazy zlały mu się w jakiś głupi, śmieszny chaos.

Nie był w stanie ich rozpoznać.

Jakby mu jakiś złośliwy szatan był nałożył na oczy okulary o wypaczonych szklach, przez które ujrzał całą bezdeń swjej niemocy i niedołęstwa. Co mu się w atelier jego wydało jeszcze przed paru dniami mocy swjej pewnym rozmachem, oglądał teraz jak jakąś wykoszlawioną, w śmiesznych drgawkach dyszącą groteskę; ujęcie ulicy w symbolu rozwiało się doszczętnie, pozostały nagie, kiepsko narysowane, pokracczalne scenki uliczne, głupie, banalne epizodniki, ordynarne reporterskie sprawozdania, najędźniejsze ilustracje do brukowych pism...

Zgłuchła zwycięska fanfara barw, słyszał tylko jarmarczne krzykactwo, widział jaskrawą harlekinadę najpodlejszego gatunku, kłuła i raniła jego oczy skrzeczająca, ochrypła, pijana ka-

kofonia opętanych farb, jakie na szyldach podmiejskich knajp widywał.

A równocześnie czuł jak najdokładniej fizyczny ból, jakby się czyjeś oczy poza nim w niego wświdrowywały — powoli — natężenie — wytrwale...

A w miarę, im silniej odczuwał ten świdrujący ból, jęły się te szatańskie okulary, które już miał na oczy nałożone, tak pokraccznie wypukłać, że już teraz nic nie widział prócz jakiejś niechlujnej pacaniny, obmierzłego plugaństwa, strasznej rany ropiącej się niemocy.

Postłyszał siebie, jak jęknął i przeraził się, że ktoś mógłby ten jęk postłyszeć, a przecież wiedział dokładnie, że za nim gdzieś w kącie stał ten ktoś, który go tak boleśnie już cały czas oczyma przewiercał.

Odwrócił się odruchowo i ujrzał istotnie młodego mężczyznę, który się z wielkim natężeniem i w ogromnym skupieniu przypatrywał — nie jemu, ale jego obrazom.

Gasztowt spojrział na niego wrogo i zaciekle, ale tamten nie zdawał się zwracać na niego najmniejszej uwagi, przeciwnie: stanął tuż obok niego, jakby go wcale nie widział i z coraz większym zajęciem wpatrywał się w obraz, od którego się właśnie Gasztowt odwrócił. Przy stanął przed nim, oddalał się, znowu się zbliżał, szukał sobie miejsca, z któregoby najlepiej mógł go widzieć, błędził oczyma po obok roz-

wieszonych płótnach i znowu do tego samego obrazu nawracał.

Gasztowt wlepił w niego oczy z zuchwałą, wyzywającą miną, starał się przemocą uwagę tamtego na siebie zwrócić, i w istocie obrzucił go tamten raz zimnem, obojętnem spojrzeniem, ale jakby coś, co było tylko mgłą, lub zgęszczonym powietrzem i zatopił się znów cały w oglądzie obrazów.

W Gasztowcie kipiało. Miał ochotę teraz do niego przystąpić, wyzwać go na pięści za ten ordynarny afront, a mimowoli czuł, że jakiś głuchy lęk się w nim wzmaga, że niemoc paraliżuje jego członki: zimny pot wystąpił mu na czoło, czuł go, jak mu spływa w przykry sposób po policzkach.

Wyszedł — w drzwiach się obrócił — ale tamten, którego twarzy — zdumiewająca rzecz — dokładnie rozeznac nie mógł, tem usilniej zdawał się wchłaniać w siebie jego obrazy.

Na ulicy przystanął:

Możeby wrócić? Zkąd się tam wziął ten człowiek, który przecież tylko udawał, że się jego obrazom przypatruje, bo w istocie jego tylko do szpiku kości przeszywał i nie tylko to — czuł przecież jak najdokładniej, jak piekielnie ten wzrok na niego oddziaływał, jak go dotąd jeszcze boli — jak mu się dusza coraz więcej mąciła, jej spoistość rozluźniała — namyślał się, czyby nie próbować zbadać tej ta-

jemnicy — ale po dłuższym czasie, kiedy zmiarkował, że szukał tylko jakiejś ustronnej ławeczki, na którejby, śmiertelnie znużony, mógł spocząć, machnął ręką i skręcił w labirynt poplątanych, wązkich uliczek: tam dojdzie na jakiś placyk i tam spocznie.

Gubił się, błądził w tym labiryncie przecinających się wzajem, poszpyłanych, w dziwaczne esy i floresy powycinanych uliczek, ale w miarę, im dłużej szedł, tem więcej nabierał sił i rzeźkości.

Więc to bezustanne kręcenie się w koło, tak dalece go nie nużyło, chociaż, co prawda, chciałby jednak spocząć. Miał wrażenie, że jest mimo wszystko jeszcze rekonwalescentem, który się, wprawdzie rzeźki i całkiem już nieźle trzymający się na nogach, z ciężkiej gorączki był przebudził: jeszcze mu się jawa z majaczeniami maligny mieszała, jeszcze nie byłby w stanie zrozumieć, co istotnie przeżył, a co było urojeniem, nie miałby nawet odwagi, by móc teraz całą prawdę zbadać, jak jeszcze przed godziną — a może to już dłużej temu? — jej nie miał, kiedy chciał nawrócić i przekonać

się, czy ten nieznajomy jego samego, czy też jego obrazy bada — ale to wszystko wydało mu się białem i nikłem wobec tego, że czuł się wcale nie źle.

Wydostał się wreszcie na mały placyk, całkiem pusty, dość gęsto zadrzewiony: krzyżowało się tu mnóstwo uliczek, co mu chwilę było nieprzyjemnem, bo widocznie był to węzeł całego ruchu okolicznego, ale gdy przez długą chwilę nic tej samotni nie naruszyło i wreszcie znalazł upragnioną ławeczkę, był wielce zadowolony.

Siadł, ale nie wskutek znużenia — uchowaj Boże! — jedynie na to, by głębiej się w siebie skupić i odmówić swój wieczorny pacierz — a miało się już ku wieczorowi.

Spoważniał nagle i zuroczył się i pokornie jął szeptać święty psalm pokutny:

„Wszystek srom i wstyd nałożon na Ciebie zostanie, a Ty go poniesiesz;

„posiłek Twój Harpije zanieczyszczą, a Ty go przełkniesz, bo będziesz głodny;

„Wino Twoje zaprawione zostanie wstrętną gorzkością, a Ty je wypijesz, bo będziesz spragniony;

„ostre krzemienie będą Twoją poduszką, a Ty na niej spoczniesz, bo będziesz żądny spoczynku;

„u drzwi trędowatych będziesz rękę wyciągał o grosz podróżny, bo wicher i słońce spędzą Cię z Twego legowiska...

Tem proroczem przekleństwem poślubiła go jego obłąkana matka na swem łożu śmierci — sztuca i wsunęła mu na palec złoty pierścionek.

Wyjął go z kieszonki, obracał go dookoła:

„I wzięłam najcięższe bólu brzemię bez skargi na ramiona i straszny krzyż cierpień dźwigałem w krwawym znoju na wzgórze śmierci i potępienia i dźwigać go będę i nadal, bom-ci jest ten, do którego Pan przywiódł wszystkie swe stworzenia, bym im nadał imiona i puste formy wypełnił krwią mego życia.

„Amen!“

Zwiesił głowę na piersi w głębokim skupieniu, odruchowo schował pierścionek do kieszonki, upewnił się po pewnym czasie, czy go istotnie włożył, opadł go już wszelki lęk i ból, gniew i rozterka i ta bezwładna niemoc: wstał, skręcił w pierwszą uliczkę, którą tuż przed sobą widział i szedł przed się.

Nagle spostrzegł, że idzie śladem czyjegoś cienia.

Potał głowę — teraz uprzytomnił sobie, że już przed chwilą zamajaczyła mu się drobna postać kobiety z delikatną twarzą i dużemi oczyma, w których czaiła się jakaś przepastna melancholia.

Właściwie nic innego nie widział, jak tylko te oczy, a raczej lśniący, jakby metaliczny połysk z szeroko rozwartych źrenic, który mu całą uliczkę w całkiem coś innego przeistoczył.

Do tych oczu przynależała ta mroczna, długa, wązka uliczka, w której próżni one coś szukały, co tam przecież być musiało, a czego odnaleźć nie mogły. Do tych oczu przynależały długie, smukłe ręce, które wzdłuż muru omackiem się przesuwaly, by znaleźć jakąś zamkniętą bramę, która tu przecież gdzieś być musiała, i do tych oczu przynależały wahające się kroki nóg, lękliwe, wystraszone, tysiącem namysłów skrepowane, jakby z stromej skały ślizgą drogą w przepaść prowadziły.

A wązka, długa ulica w cichem a złowrogim metalicznym lśnieniu tych wyteżenie patrzących, a nie widzących oczu, budząca się na chwilę w głębokim śnie pod dotykiem błądzących rąk, zaniepokojona wahającymi się niepewnymi krokami, prowadziła na most, przezucony przez dużą rzekę.

Skradał się za nią, wstąpił w długi cień, jaki jej postać na mroczną, tylko lekko jakby odbiciem niewidzialnego księżycyca z niebieskiej stali olśnioną ulicę rzucała, cień jej połączył się z jego własnym i snuł się za nimi, gdyby nieforemny, pijany płaz, niepewien celu, do którego zdąża.

Weszła na most — on przystanął na rogu w bramie narożnej kamienicy.

Nagle posłyszał straszny krzyk. — Nie! nie posłyszał — widział go — widział dokładnie, jak się powietrze rozdarło, przeorane ognistym

plugiem olbrzymiej błyskawicy: wyglądało to, gdyby smocza, ogniem ziejąca paszcza — niebo zawyło potopem rozwścieczonych barw, jakich jeszcze żadne oko ludzkie nie widziało: wyglądało to, jak gdyby tęcze świata w początku w śmiertelnych zapasach z sobą się zmagaly, rzeka się nagle wzdęła, wypałąkowała most, który zdawał się być z kauczukowej masy sporządzony, do wyżyn w niebo pnących się wież i w tej samej chwili ujrzał, jak postać, której cień dawno się już był od jego oderwał, przerzuciła się poprzez barjerę mostu i rzuciła się w spienione odmęty rozpaczą głodu wzdętej rzeki.

Przystanął skamieniały:

Teraz po raz pierwszy rozwarły się dla niego w tym krzyku najtajniejsze czeluście ulicy. Nigdy jeszcze nie słyszał krzyku ulicy — teraz mu się dopiero objawiła ulica w całej swej potępieńczej grozie.

Oczy jego duszy rozwarły się do niepojętego ogromu, i jakby wszystkie zmysły w nich się w jedno zlały, wchłaniał w siebie straszliwą jasność objawionych tajemnic.

Sekundę tylko, bo tuż zahuczał gwałcący nakaz, ale nie słyszał go uszami, ani w sobie go nie słyszał: jakby z daleka, z przeciwległego brzegu jakaś wściekła ręka była się poprzez rzekę ku niemu nagle wysunęła i teraz nim nieprzezwyčajną mocą targała:

— Ratuj! Ratuj!

To nie prośba, to piorun czyjejś obcej woli,

który żadnych zastanowień nie znosił, wszelką rozwagę ubezwładniał.

Zerwał z siebie bezmyślnie, ślepo posłuszny, marynarkę, kamizelkę, buty i rzucił się w gwałtownym rozpędzie w spienione nurty rzeki.

A cały stał się teraz jednym okiem.

Widział niewielką plamę kapelusza, która się ukazywała, ginęła, podskakiwała na ciężko toczących się kłębach wód, chwilami gubił wszystko z oczu, ale znowu ta plama wypływała — raz poraz porywał go gwałtowny prąd, skręcił nim wir i chłonał go w głąb, woda zabryzgiwała mu oczy, łała się do ust, nosa, uszu, ale jakby był siepany szatańskimi kańczugami, jakby go jakaś niepojęta moc była opanowała i siły jego do nadludzkiej miary wzmogła, zdołał pochwyć zwój jej włosów, okrecił je ręką, podrzucił z pod siebie jakąś bezwładną masę: chwilę zalała go silna fala, ale znowu wypłynął, dostał się w obręb najgwałtowniejszego prądu, w straszliwym przerażeniu uczuł nagle bolesny skurcz w ręku i w nogach, już się jął poddawać i znowu rozwył się w nim ten piekielny krzyk — było to, jakby dotknięcie do czerwieni rozpalonym żelazem: jeden jeszcze przeolbrzymi, nadludzki wysiłek — gwałtowniej poniósł go jeszcze prąd i wyrzucił daleko poza mostem na brzeg.

Resztką sił wywłókł z wody bezprzytomną, bezwładną kobietę.

Miał nieprzeparte pragnienie rzucić się teraz na ziemię i w błogiem odurzeniu skonać z nie-ludzkiego wyczerpania, ale znowu uczuł ten przeraźliwy ból, jakby go ktoś rozpalonem żelazem był przypiekl: nową niepojętą siłą nabrzmiały jego mięśnie, a wola jego stała się młotem, dla której on sam był tylko prostym kowadłem.

Wszystko, co teraz robił, było czemś automatycznym — był tylko prostym manekinem w czyichś przepotężnych rękach.

Zozerwał na kobiecie stanik, podnosił jej głowę do góry i kazał jej upadać, wyciągał jej ramiona i znowu je składał — wreszcie docucił ją.

Otworzyła oczy.

Zionęło z nich jakieś błędne, wrogie spojrzenie, usta otworzyły się jakby do krzyku, ale w tej samej chwili zachłysnęła się kobieta wodą, którą z ciężkim kaszlem z siebie wyrzucała.

To ją widocznie oprzytomniło.

Odwróciła się na bok, skuliła się w sobie, konwulsyjne wysiłki kaszlu miotały jej ciałem, objął ją wpół, postawił na nogi, czekał cierpliwie, aż paroksyzm minął i ułożył ją na piasku.

Oddychała głęboko, ale już swobodnie. Tylko z jej oczu wyrzywały się ciężkie, głuche jęki bólu, otwierała się i zamykała naprzemian otchłań przerażającego cierpienia.

Znowu ją stawiał na nogi — słowa nie prze-

mówił, tylko ten młot obcej woli, który o niego jak o kowadło walił, i o nią się teraz odbił — szła, ślaniając się, jak gibka trzcina, wreszcie już włókł ją za sobą, pchał przed się, niósł naprzemian aż do miejsca, w którym ubranie jego leżało.

Znowu ułożył ją na piasku: zdawało mu się, że twarz jej wykrzywiła się jakimś złym śmiechem, zdawało mu się, że oczy jej zło-wrogo mrugają, ale cóż go to teraz obchodziło. Więcej zdumiewała go ta okoliczność, że tak pusto było wokół, że nikt tego krzyku nie słyszał, że przestrzeń od brzegu aż do ulicy jakby się była przez ten krótki czas wydłużyła, a mimo, iż był już powinien zapaść zmrok, tak było dziwnie jeszcze widno — a co mu się wydawało wprost niepojętem, to to, że w pobliżu ujrzał nadjeżdżającą dorożkę.

Ale nie miał czasu na myślenie, ani też na szukanie związków między temi zdumiewającymi okolicznościami — skinął na dorożkę, a dorożkarz, jakby czekał na to skinienie, podjechał z dziwnie obojętną dyskrecją.

To wszystko wydało mu się bardzo dziwnem, jakąś zawiłą zagadką, ale nie miał czasu na trudzenie się jej rozwiązywaniem.

Wciągnął szybko marynarkę, wkuł z ciężkim trudem buty na nogi — pochwyił w pół kobietę, dźwignął, ale już widocznie była przytomna, bo nie miał z nią żadnego mozołu, rzucił

dorożkarzowi adres — dziwne, że przez jakąś chwilę sprzęgły się ich oczy — chciał jeszcze nad czemś pomyśleć, ale na to wszystko miał później czas.

Teraz nie czuł najmniejszego zmęczenia — przeciwnie: był niezwykle podniecony, jakgdyby słodki jad morfiny w żyłach jego był się rozlał, słyszał tylko bezustannie w uszach ten krzyk, w którym mu się po raz pierwszy najgłębsza tajnia ulicy objawiła.

Teraz, teraz dopiero zrozumiał, co było jego bezsilną i niemocą, teraz mu się w duszy rozjaśniło: on malował ulicę, martwą, głuchą ulicę, a jej krzyku nie umiał namalować — och! jaki był szczęśliwy, że mu się teraz wrzeczadza do ukrytego Tabu, w którym cała tajemnica spoczywała, rozwarły!

Wreszcie przystanęła dorożka.

Chciał ją wziąć na ramiona, ale wyszła o własnych siłach.

Zdziwiło go tylko, że dorożkarz, nie czekając zapłaty, odjechał — takie rzeczy tylko we śnie się dzieją, pomyślał.

Na wschodach opadła.

Wziął ją na ramiona, a wydała mu się być bardzo lekką — i zaniósł ją do pracowni.

Posadził na kanapie, zapalił światło i otworzył drzwi do przylegającego do atelier alkie-rza — sprzątnął parę obrazów i posłał łóżko.

— Teraz niech się Pani czempredzej rozbie-

rze — mówił rozkazująco, podniósł ją z kanapy i wprowadził do alkierza, w którym właśnie tylko wązkie żelazne łóżko i kilka najpotrzebniejszych gratów pomieścić się mogło.

Patrzyła na niego uporczywie, maniacko i znowu ujrzała ten blask zimnej, niebieskawej stali, który niedawno rozlśniewał mu mroki ciemnej ulicy, że wszystko naokół mu się widnem wydawało. I chwilę uczył zdumienie, bo w tym wzroku, długim, powłóczyłym rozegrała się jakaś dzika melodia w gwałtownych, piorunujących akordach: wyzywające, ordynarne chwytły ulicznej nierządnicy, łaszenie się pożądlivej samicy, to znowu skomlenie bezradnego dziecka, zgrzyt rozpaczego bólu, skowyt głodu i znowu kuszące ogarnianie plugawą żądzą...

A to długie spojrzenie: jeden krzyk!

— Niech się Pani teraz rozbierze i położy — głos jego stał się twardy i nieustępliwy — ja zrobię tymczasem w piecyku w atelier ogień i wysuszę Pani bieliznę i odzież — wstydzic się Pani nie potrzebuje, jesteśmy ścianą przedzieleni... w tej chwili... znalazł w atelier stare futro i położył je obok niej na krzeselku... Teraz pójde do atelier, zrobię gorącej herbaty — tylko proszę Panią, bym ją za kwadrans znalazł w łóżku w tem oto futrze...

Wdziej je Pani — a wszystko, co jest do suszenia, położy tu Pani na krzeselku.

Mówił to wszystko nakazująco i surowym głosem — patrzyła na niego takim samym wzrokiem, który go coraz więcej niepokoił. Raz jeszcze długi obrzut oczu — nie wiedział, czy to kurcz cierpienia, czy pogardliwe szyderstwo, przestrach czy też wyzwanie, a potem zamknęła oczy.

— Niech się Pani mnie nie lęka — mówił już łagodniej, niespokojnie i beładnie — ja Pani nic złego nie zrobię — nie chciałbym tylko, by się Pani na śmierć przeziębila...

Urwał, bo w liniach tej drobnej, niezatartym stygmatem nierządu napiętnowanej twarzy rozigrała się ta sama potworna melodia, którą już w jej spojrzeniu wyczuł — rysy tej trupio bladej twarzy, pomniejszonej jeszcze beładną falą czarnych włosów, które gęstymi zwojami wokół się wicherzyły, przetwarzały się z zdumiewającą szybkością: teraz ciche posępną pięknnością upadłego anioła, rozrzucały się tej samej chwili wyuzdanem rozpasaniem pijanej ulicznicy, — groźne i odpychające na błysk sekundy, rozluźniały się chytrem, przebiegłem kuszeniem, z poza lichej wylęknionej powłoki twarzy dziecka wyzierała szczerząca zęby, jadem nierządu przeżarta maska zgnilizny i rozkładu.

— Niech się Pani tylko mnie nie lęka, ja istotnie nie mam złych zamiarów, powtarzał beładnie — a równocześnie wpatrywał się w tą zdumiewającą twarz: wspanialszego mo-

delu dla swego symbolu ulicy nie mógłby znaleźć... tak! tak! to było to, czego szukał: ta kobieta w oplocie jakiegoś ohydneho stonoga, stokroć razy jeszcze potworniejszego, jak ten, który cały wszechświat opanowywał.

Teraz znowu rozwarła oczy, ale tym razem onem spojrzeniem niemego krzyku, które już raz był pochwycił, gdy ją z wody wyciągnął — spojrzeniem błędnem, nienawistnem, lękiem opętanem.

Cofnął się.

— Za kwadrans wróć — był prawie wystraszony tem groźnem spojrzeniem — zgotuję herbatę.

Zamknął drzwi od alkierza, pozostawił ją samą — rozniecił w piecyku ogień i nastawił samowar.

Chciał coś pomyśleć, nad czemś się zastanowić, ale na to wszystko miał dosyć jeszcze czasu, więc czekał cierpliwie, aż się woda zagotowała, wyciągnął z jakiegoś kąta filizankę, wypłukał ją starannie, bo zdawało mu się, że cuchnie starą terpentyną, nalał herbaty i zapukał do alkierza, a ponieważ żadnego głosu nie posłyszał, więc powoli i ostrożnie otworzył drzwi.

Zrobiła wszystko, co jej kazał.

Leżała, owinięta w futro, nakryta kołdrą — a obok na krzeselku jej odzież, z której woda szeroką strugą rozlewała się po podłodze.

— Doskonale, doskonale! powiedział Gasztowt, prawie wesoło i zachęcająco, ale jej zły, nienawistny wzrok zmroził go.

— Niech się Pani teraz herbaty napije, zaraz potem Pani uśnie — sam jestem djabło zmęczony...

Ani nie drgnęła.

Poszedł ku niej, wziął ją ramieniem pod głowę, prawie przemocą wlał w nią gorącą herbatę, zebrał wszystko, co na krzeselku znalazł i wyszedł.

Zamknął za sobą drzwi, porozwieszał przy piecyku przemokłe doszczętnie rzeczy i już o niczem nie myślał, tylko jedynie o tem, by przypadkowo nie zasnąć — mógłby łatwo pożar powstać, a wtedy dostałaby się jego klientka z deszczu pod rynnę, to znaczy: żywcemby się spaliła.

Nie zdążył całej grozy takiego położenia do końca domyśleć, bo nagle, jakby piorunem rażony, zatoczył się na otomanę: widział jeszcze, jak z jakiejś szpary wysuwał się ohydny łeb stonoga, słyszał, jak się piasek poza rozerwaną tapetą sypie, patrzył chwilę w dwa zielone ślepie, co z dziwną szybkością wyolbrzymiały do ogromnych tarcz, w których ujrzał aż pod niebo wypałowone przęsła mostu: czarna, zgniła woda lała się między trzęsącymi się słupami, całe atelier zdawało się chwiać, bo coraz gwałtowniej przepychało się

przez ciasną szparę jakieś olbrzymie cielsko —
 posłyszał jeszcze jakiś okropny krzyk, jakby
 przeraźliwy ryk ogłuszającej syreny, który
 zwolna cichł — gasł... chciał jeszcze rękę wy-
 ciągnąć, by go rozniecić, parę polan pod niego
 podrzucić, ale już nie był zdolny do jakiegos
 ruchu.

Gdy się obudził, nie mógł się dobrze rozeznąć,
 gdzie się właściwie znajduje.

Było, jakby w nim zaległa czarna, głucha
 noc.

A w tej nocy słyszał nadpływ huczących
 zdala bałwanów — bliżej — coraz bliżej —
 a teraz już je dokładnie widział, jak się coraz
 wyżej piętrzyły, w niebo rosły, zwały się z sobą
 w olbrzymi zwał wód — na milę szeroki —
 w rosnącym rozhuku i grzmocie zdawało mu
 się że ten zwał rośnie w nieskończoność, jak
 oberwana na wysokim szczycie bryła śniegu,
 która w dolinę już globem całym się zwała —
 widział jak najdokładniej, jak ten zwał biegnie
 ku niemu, podskakuje w gwałtownych podru-
 tach, jakby się w piekielnym rozpędzie prze-
 walał poprzez grzebienie podmorskich gór:
 teraz — teraz posłyszysz jakiś straszny krzyk,

bo zwał ten teraz ciężarem oberwanych chmur się na niego zwali i go zmiążdży —

ale nie słyszał krzyku...

I znowu z poza widnokregu toczyły się coraz potężniejsze, wyżej jeszcze w niebo wód konwoluty, ale i te załamywały się pod własnym ciężarem, runęły w dół, rozwijały się w szerokie płachty, zalewały płytką roztoczą miarki brzeg — a i tym razem nie słyszał krzyku: jeno korne obcałowywanie w głuchym rozjęku piaszczystej mielizny.

Nadśluchiwał: jakaś upiorna, groźna pieśń, gdzieś na ulicy poczęta — ależ nie! bo nie zdawał sobie sprawy z jakichś określonych wrażeń słuchowych: to co odczuwał, było raczej szybko po sobie następującym szeregiem bolesnych wstrząśnień: dreszcze groźnych balad, mroźna szklistość litanijnych antyfon, do szpiku kości przeszywająca psalmodja pieśni pogrzebnych, dyszący, żyły lodem ścinający rozjęk dzwonów na trwogę — ale nie słyszał tego krzyku, w którym mu się przecież tajemnica ulicy była objawiła.

Przeciwnie:

Coś w nim stało się jakimś bezdennym lejem, w który cały świat mu się bezgłośnie zlewał w jakieś przepastne czeluście, — dusiła go głucha, parna cisza, sam się zdawał na części i ciasteczki rozkładać, gubić, rozlewać się w ciemnej przepaści leju...

A przecież on ten krzyk już słyszał — kiedy — kiedy to było?

Ten krzyk!... Ten krzyk?!

Przytomniał.

Alé to wszystko pewno było tylko snem.

Zrzucił z siebie futro — skąd się to futro wzięło?

Obejrzał się: drzwi do alkierza były otwarte — zajrzał: nikogo nie było. — Tylko struga wody na podłodze przyzwała go do rzeczywistości — więc to wszystko nie było snem — jawą, jak najrzeczywistszą jawą:

wstała, ubrała się, gdy leżał w ciężkim śnie — na kpiny przykryła go futrem i poszła.

Jakie to niesłychanie śmieszne!

Jakie to przeraźliwie śmieszne i głupie — o! ulica bywa dowcipną, boleśnie dowcipną i złośliwą.

Uczuł jakiś głuchy, dojmujący wstyd, ale na chwilę tylko, bo w tej chwili posłyszał pierwszą zwrotkę pokutnego psalmu, którym go obłąkana matka sztuce poślubiła:

„Wszystek srom i wstyd włożon na Ciebie zostanie, a Ty go poniesiesz...”

I wraz o wszystkim zapomniał.

Chodził chwilę po atelier — dusza jego rozegrała się jak tysiącnostrunna harfa w zacieklej gonitwie olbrzymich akordów, rwących się arpeggii, rozpierała się poza swe bieguny, bo nie była w stanie objąć ogromu tego hura-

ganu dźwięków, by porodzić ten wielki krzyk: tajemnicę, której tak długo napróżno szukał.

Roił mu się teraz, gdyby ogromna błyskawica, która całe powietrze na szmaty darła, niebo w głębokie bruzdy orała i na niem wzniciła pożar 'rozwścieczonych barw, jakimi się tryszczy gotująca się ciecz najprzeróżnorodniejszych metali, a wyglądało to, jak gdyby tęcze światów w poczęciu, w śmiertelnych zapasach z sobą się zmagaly.

Tak! tak! Tak musiało niebo krzyczeć!

Rozpinał gorączkowo płótno na blejtramię, mył pędzle, rozcierał na palecie farby —

a w dole z poza widnokregu toczące się zwały wód, wybryzgujące w niebo wściekłą pianą — a ponad niemi olbrzymi, wypałkowany łuk szatańskiego mostu — tak — tak!

Byleby tylko tego z oczu nie stracić, byleby tylko mu w uszach nie zamilkł ten krzyk — och! wtedy stworzy tą potężną syntezę ulicy — ulicy! wykrzyknął.

Gwizdał, śmiał się, śpiewał, smagał się w szat twórczy, zaciął zęby, bo ogień, który mu się w żyłach przelewał, ból mu sprawiał, w oczach gzygzakowały mu błyskawice, które napróżno usiłował spłoszyć, dusza szarpała się w swoich posadach, by się z tej przedtwórczej męki wyzwolić, i nagle przyszła chwila wyzwolenia: było to, jak chwila obrzutu oczu, pławiących

się w bezbrzeżu pozaświadomych tajemnic; przekroczył święty próg: stygł, tężał w chwili takiego skupienia i takiego bolesnego naprężenia wszystkich sił, że zapomniał, iż istnieje, zdawał się budzić w innych wymiarach i mógłby teraz stać w gorącym ogniu, a nie czułby, że się pali.

Wiedział, że się teraz jakaś strasznie bolesna męka w nim dokonuje, ale jej nie czuł, miał wrażenie, że z ciężkim trudem się coś od samego dna jego duszy odrywa i w nowe życie się przekształca i zdawało mu się, że nie ręko ma pracuje, ale oczyma barwy rozprowadza po płótnie, krzykiem, który mu się bezwiednie wydzierał z gardła, rozplomienia je do żywego ognia; słowami obłąkańczego psalmu pokutnego wyprowadził już w głąb głuchą, mroczną ulicę błądzących rąk, taczających się w pijanej rozpaczny kroków, zaschłych w męce pragnienia oczu: ulicę konających westchnień, szarpiącego krzyku, ulicę przeciętą kipiącymi zatorami rozjuszonej rzeki, która pod niebo wypałkowała szatański most—szafot, a na nim tronąwał straszliwy, potworny pomazaniec życia: Stonóg! Teraz jeszcze tylko ten wielki krzyk, który powietrze w szmaty rozdzierał, niebo na wściekłe barw pasy rozszarpywał i na niem pożar straszego przekleństwa wzniecał — bo teraz jeszcze...

I w tej samej chwili zlała się w bezdenny

proces
twórcy
misterium

Wino męskie
chłone

lej rozhułkana fala natchnienia, mróz ściał jego żyły — coś w nim znowu mu nałożyło te szatańskie okulary, przez które ujrzał jakąś nędzną, bezkształtną pacaninę barw, groteskowo potworną niemoc i śmiesznie dziecinne wysiłki, by móżdżek swą wizję w jawę wczarować.

„Lasciate ogni speranza!“ miał teraz ochotę ryknąć na cały głos, nie wiedział, płaczem czy wściekłością — schwycił rozpoczęty obraz, rzucał go w kąt, padł na otomanę, a w jego oczach rozpalili się płomiennymi głoskami lęk, tętnił krótkim urywanym rytmem w jego skroniach z taką mocą, że zdawało mu się, iż wszystkie naczynia krwionośne pękają...

Zkąd ta piekielna niemoc?

Posłyszał w sobie szyderski zgrzyt, chichot, czaszka zdawała się rozpękać i jął się rozpacznie uspokajać.

Przemawiał do siebie dobrotliwie z całym zasobem zdumiewającej siły dyalektycznej — wyprowadzał w pole swoje wyczerpanie, fizyczny opadek sił wskutek głodu i nędzy krańcowej — i t. d., i t. d. — na jeden argument, że wszyscy wielcy artyści głód i nędzę cierpieli, miał tysiące innych, które tamte doszczętnie zbijały — w mig odbijały w powietrzu najmniej spodziewane cięcia, w ostatniem mgnieniu oka uchylał się pod ściśle obliczonym obuchem, który byłby go powinien z bezwzględna pewnością zmiażdżyć, zręcznie odskakiwał pod-

stępne podstawianie nogi, pod którym niechybnie byłby się musiał zwalić, bronił przed trybunałem surowych sędziów z zdumiewającym sprytem zdawało się już całkiem zaprzepaszczonej sprawy i zmuszał zawstydzonego prokuratora do tego, by sam stawił wniosek uniewinnienia oskarżonego od winy i kary, bo przecież ciążyło na nim niczem nie dające się przebłagać przekleństwo, rzucone przez jego własną matkę na twórcę, że będzie zmuszon jeść chleb, zanieczyszczony przez Harpije, pić, wino z gnójki, a u wrót trędowatych szukać przytułku...

I byłoby mu już całkiem dobrze, gdyby się tak boleśnie nie musiał wstydzić tego, co wczoraj zrobił.

Jak można było tak ordynarnie postąpić i kogoś przemocą „ratować“ ?!

To sto razy gorzej, niżby się podstępnie był wkradał w czyjeś zaufanie, niżby obcy list nad parą otworzył i przeczytał, lub kogoś przez dziurkę od klucza podglądał!

Teraz się na serjo na siebie pogniewał:

— Cobyś ty, brutalu jakiś, na to powiedział, gdyby Cię jakiś błazen chciał „ratować“, jeżeliś syt życia i chwały i głodu oczywiście, po długich cierpieniach postanowił wreszcie, by się z bytu do niebytu przenieść ?!

„Ratowaniem“ to nazywają! Ha, ha, ha! Gasztwt krztusił się od złego śmiechu... Jakie to ordynarne!

dusza - ciele -> oparyje

ulica -> życie

Przykuwać przemocą duszę do tego cielska, z którego gwałtownie poza światy się wyrывa, duszę, znużoną wędrówką po zbyt długiej, cuchnącej, smrodliwej ulicy, jaką jest życie — zmuszać z powrotem w to cielsko, którego z obrzydzeniem chce się pozbyć, to sto razy gorsze i bardziej okrutne, jakby się wepchnęło niewolnika, któremu się przed chwilą życie i wolność darowało, z powrotem do ciemnej, zgniłej nory.

Ordynarnie i głupio sobie postąpił — rozumiał teraz doskonale, dla czego tak pokryjomu się od niego wykradła — chciała poprostu oszczędzić głębokiego wstydu jemu i sobie samej, bo nie ulega wątpliwości, że się musiała za niego wstydzić.

W każdym razie wszystko o tyle się dobrze stało, że nikt tej śmiesznej awantury nie zauważył — inaczej byłby musiał pójść do cyrkułu, wylegitymować się, co zacz za osobnik on jest, musiałby opowiedzieć całe zajście, co i jak — jeszcze był gotów dostać medal ratunkowy i wyczytać o sobie w urzędowej gazecie zaszczytną wzmiankę, przeczoby się wdrapał na niebosiężny wierzchołek śmieszności.

A, gdy to tak wszystko rozważył, całkiem się uspokoił.

Zapalił teraz papierosa i wyciągnął się na otomanie.

Ból głowy odczuwał, jakby jakiś miły, bez-

Metodę sobie wytworzył
całe dla niego barbarskie
czyjmu.

żarny ogień w mózgu mu się był rozpałił, a przykre strzykanie w kończynach członków — prawdopodobnie wskutek nieprawidłowego obiegu krwi — wydało mu czemś łaskotliwym, ba! nawet przyjemnem, gdy się głębiej w analizę bólu zapuścił, a równocześnie czuł, że się rozdwaja, bo z przyjemnością słuchał rozmowy, niesłychanie sprytnej i podstępnej, którą z nią prowadził, bo właśnie po długim szukaniu przydybał ją na ulicy.

A złożyło się to wprost cudownie — tak przecież gorąco pragnął tego spotkania — teraz mógł się nietylko uniewinnić, dlaczego ten haniebny czyn popełnił, ale nawet bohatercko z całej tej śmiesznej afery wybrnąć.

Widocznie nie chciała go słuchać, bo szła szybko naprzód, więc tylko urywanie mógł jej całą rzecz wyłożyć.

Znał ją już przecież oddawna, widywał ją często, zajęła go w najwyższym stopniu —

Gasztów z zajęciem słuchał bezczelnych kłamstw swego sobowtóra.

Opisywał jej tę wielką rozkosz artysty, który przez cały — no dajmy na to — cały tydzień starał się utrwalić w pamięci nigdy przedtem niewidzianą wytworność ruchów, głębiej jeszcze wnikać w czeluść tych przeraźliwie, bez nadziejnie smutnych oczu — odtwarzał wymownie mękę artysty, w którego mózg wraziła się twarz kobiety w całej pełni życia, w każdym

najdrobniejszym szczególe, najdelikatniejszym zagięciu, nieuchwytnym prawie, bo aż nazbyt wysubtelnionym rysunku ust, owalu, brwi, całej nieskazitelnej czystości linii, a gdy powrócił do swego atelier, coś obezwładniało jego rękę, mąciło mu oczy, a ilekroć razy pragnął odtworzyć tą wizję, w tem większą rozpacz popadał...

Gasztowt nadśluchiwał zdumiony, w jakim celu jego sobowtór wymyślał ten cały stek najgłębszych kłamstw.

Przecież zrozumieć musi, że rzadko kiedy spotka malarza takie szczęście, iż trafi na tak kapitalnego modela...

— Rozumiem, mówił pokorny i skruszony, że Pani nie chce mnie znać. Pani na wskroś odgadła moją złą, podstępłą, samolubną duszę. Pani chciała się wyzwolić z pod ohydneho jarzma życia, a ja Panią ponownie w nie wtłoczyłem na gorszą jeszcze mękę i udrękę, jedynie z lęku, że stracę w Pani wprost fenomenalnego modela. Pozazdrościłem Pani tego szczęścia wyzwolenia, zagroziłem Pani do niego drogę, bo jestem złym, cynicznym brutalem, dla którego nienamalowany jeszcze obraz sto razy więcej wart, aniżeli szczęście Pani...

Z tych to względów, hańbiących go co prawda, ale czysto artystycznych, powinna zrozumieć, dłaczego się snuł za nią bezustannie, jak cień — i dłaczego wtedy, gdy zapragnęła się pozbyć tej głupiej ziemskiej powłoki, wyratował

ją z tej czarnej rzeki, tej samej, którą chciał przed chwilą namalować, kiedy rzuciła się z mostu w wodę w ucieczce przed strasznym pomazańcem Życia — Stonogiem...

Teraz Gasztowt uczuł głęboki niesmak. Cała ta komedia wydała mu się śmieszną i bezcelową i wcale się nie zdziwił, gdy jej na to natręctwo cierpliwości zabrakło:

— Pocóż Pan tak bezsensowo kłamie? Przecież to wszystko od początku do końca kłamstwo. Nigdy mnie Pan przedtem nie widział, przysięgłabym nawet, że Pan nawet dokładnie nie wie, jak ja wyglądam... Faktem jest tylko to, żeś Pan mojem nagłem zniknięciem zirytowany. Pan jesteś w ustawicznej pogoni za sensacją, czemś niezwykłym, czemś, coby stępień nerwy Pańskie podniecić mogło — i Pan chciałby poprostu zrobić z niedoszłej topielicy swoją kochankę!

Gasztowt zerwał się w drżącym oburzeniu:

— Kochankę?! Ja kochankę z niedoszłej topielicy? Kłamstwo! Kłamstwo!

Nigdy jeszcze żadne erotyczne uczucie nie skalało jego duszy. Sztuce został poświęcony, jej wyłącznie poświęcony, a jeżeli teraz ten srom i wstyd znosi, to jedynie dlatego, że takim jest jego przekleństwo, by wszystko dla sztuki ponosił...

Ha, ha, ha! Czemu nie powiedziała, że on jest wprost w niej zakochany, zabałwaniony

tak od pierwszego wejrzenia, mimo, że istotnie nie wie dokładnie, jak wygląda...

— Pani się fatalnie myli, istotnie to wszystko, co przed chwilą słyszała, było tylko głupiem, niefortunnym kłamstwem, by czemś swój ordynarny postępek usprawiedliwić i własny bolesny wstyd oszukać.

Zresztą on to zrobił nie w złej, ordynarnej myśli, ani też wskutek braku dyskrecji — przeciwnie: całkiem odruchowo, bo przecież nie mógł wiedzieć, że ona chciała samowolnie zaryzykować ten niebezpieczny skok przez barjerę mostu — raczej mógł przypuszczać, że to nieszczęśliwy wypadek — prosty zawrót głowy, którego i on doznaje i to w wysokim stopniu, gdy z góry w wodę patrzy — a woda ma wielką przyciągającą siłę — woda ciągnie przemocą — nie tylko ludzi, ale nawet zwierzęta... Sam przecież miał psa, którego wziął na łódkę, a ten tak się zapatrzył w głębiny, że wskoczył do wody, wyrzucił łódkę, przyczem on sam o mało co tego życiem nie przepłacił...

Gasztował gorączkowo. Myśli jego harcowały, wyprawiały najpocieszniejsze koziołki, rwały się bezustannie — gubił związki, plątał się i coraz więcej się rozdrażniał.

Tak! to wszystko bezwarunkowo głupstwo i chore brednie:

Jeżeli teraz uczuł nieprzepartą chęć wyjścia na ulicę, to nie dlatego, by jej szukać — za

żadną cenę nie chciałby jej spotkać — musiałby się wskutek swego głupiego czynu z wstydu pod ziemię zapaść — zresztą tak, czy owak czuje aż nadto całą pogardę, kpiące szyderstwo i nieważność jej oczu ku sobie: ołowianym ciężarem spoczywają na nim...

I jeżeli teraz pragnie wyjść na ulicę, powtarzał z zaciekłym uporem, to nie dla tej głupiej, śmiesznej przyczyny, by zobaczyć ją — ha, ha, ha — jak ona to powiedziała? — ją, z którejby się kochankę zrobić chciało — zbiegł go gorący dreszcz obrzydliwego niesmaku — ale dlatego, że musiał!

Tak! to był nieprzewycięzalny mus — przede wszystkim musiał zaspokoić prosty głód, który mu wnętrzości szarpał, od którego mu język zesechł, gdyby kawał przepalonego ścierwa, a głowa go łupała, jakby się rozsadzić chciała.

Przytem chciałby zobaczyć ludzi, zobaczyć jakiś sprośny, karkołomny taniec, w którym człowiek wyfikuje swoją męczeńską „joie de vivre“ — może postłszy jakiś nieprawdopodobnie rozstrojonej harfy, które ostrymi szydłami bębrenki uszu dziurawią — może w jakiejś starej, zatłuszczonej gazecie wyczyta, że ona... zatrząsł się z febrycznego zimna — ponowiła udaremnione przez niego zamiar i przekroczyła próg, dzielący ją od Bytu i Niebytu... Ha, ha, ha! To istotnie kapitalny pomysł!

A teraz pójdzie!

Iść musi! W duszę jego wznosił z wzmaga-
jącym się bólem lęk, niepokój, chora drżączka.

Jedna tylko myśl przyrzemieniła go do rze-
czywistości — jakże on wyjdzie na ulicę, jeżeli
nie miał przy duszy ani centyma?

Że też sobie tego wczoraj nie uświadomił,
kiedy na dorózkę skinął i tak po pańsku się
z swoją topielicą przejechał!

Jakaby to wynikała awantura, gdyby nie zdu-
miewająca dyskrecja doróźkarza...

Ale nie czas było nad tem myśleć — mu-
siał iść na ulicę, musiał głód zaspokoić, musiał
ludzi zobaczyć, a nie miał ani centyma.

I z całą chorą energią, by się wydobyć na
ulicę, rzucił się na poszukiwanie pieniędzy,
które, gdzieś tu w atelier przypadkowo zapo-
mniane, przecież leżeć muszą, w roztargnieniu
w jakiejś skrytce schowane, w dobrych czasach
bezmysłnie po kątach rozsiane...

U^Upłynęła dobra godzina.

Gasztował prawie tryumfującym wzrokiem
powłókł po pracowni.

Pot lał mu się z czoła, bo się ciężko spra-
cował.

Zdawało mu się koniecznie, że przecież
gdzieś coś znaleźć się musi — przecież to tak
często się zdarza, że z kieszonki kamizelki
jakiś pieniądz wypadnie, gdy się zegarek wy-
muje, albo też z kieszeni od spodni, gdy się
chustkę do nosa wyciąga, więc starannie po-
przerzuczał nieobramowane płótna, których całe
stosy po wszystkich kątach leżały — napróżno!

Przypomniało mu się, że kiedyś w jakiejś
książce znalazł papierowy pieniądz — widocz-
nie położył go w roztargnieniu w otwartej
książce: wtem ktoś zapukał — on książkę
szybko zamknął i zapomniał całkiem o pa-
pierku — więc może i teraz w jakiejś książce

coś znajdzie: przewertował kilka książek, które leżały na obdartej sofie, ale nic nie znalazł.

Miał istotnie powód do tryumfowania. Z góry wiedział, że nic nie znajdzie, a coś żywiło w nim nadzieję, że jakiś cud się stanie.

— Masz cud! Masz! śmiał się gorzko. Spociłeś się, zmachałeś, że nogi pod tobą się trzęsą, a nawet kawałka papierosa nie znalazłeś.

Szczęście jeszcze, że miał kilka papierosów. Paleniem zdołał oszukać swój żołądek i uśmierzyć uczucie głodu, który mu coraz dotkliwiej dokuczał. I do żywego dojechał mu ból głowy: w oczach go parzyło, a spieczona usta zlepiła warstwa białej, lepkiej śliny gorączki.

Tak! to był głód!

Całkiem ordynarny głód: uczucie samo dla siebie, nie dające się analizować, nie pozwalające przy wszelkich kombinacjach myślowych na żaden, choćby najdrobniejszy ułamek.

Bezwarunkowo!

Dwa w dwóch idzie raz — głód w głód pozostaje głód! na to rady niema.

Zapalił papierosa, zrobił trzy, cztery łakome łyki i zawróciło mu się w głowie, lekka mgła zasunęła mu oczy.

Ogarniała go senność: członki zwolna, jak Homer mówi, poczynęły się rozluźniać i możeby znowu usnął, gdyby nie miał w ustach tego wstrętnego uczucia od lepkiej śliny, której wypluć nie mógł: to było obrzydliwe!

Zwłóknął się z sofy, wypił jedną i drugą szklanek wody, znowu spojrzął z tryumfującym szyderstwem na swoje obrazy.

Być tak wielkim artystą — chichotał zjadliwie — i poprostu z głodu zdychać, to przecież absurd — to więcej niż absurd — ale ponieważ na razie nie wiedział, coby absurd przewyższyć mogło, więc tylko skonstatował ten jeden potworny absurd, jaki doszczętnie siły jego wyniszczał.

Oh! qualis artifex pereo! śmiał się szyderczo: czem deliryczne, jadłem szaleju wywołane wizje Hieronima Boscha, najpotworniejsze fantasmagorie Goyi, najwyuzdańsze sprośności Ropsa, grozą zohydzającej nienawiści ziejące groteski Daumièra, opiatryczne halucynacje Ensora, niedołęzne potworności Wiertza wobec tego, co on stworzył!

Głębiej, niżeli oni wszyscy, zdołał spojrzeć w czelustne otchłanie duszy ludzkiej, wywłóknął z jej ciemnych zaułków przyczajone tam zwierzę w człowieku: apokaliptyczną bestję, dyszącą mordem i okrucieństwem, tarzającą się w plugawych orgiach, wiecznie nienasyconą i wiecznie nowych ofiar chciwą.

Dotarł do samej magmy bytu, a magmą tą był głód!

Głód malował, bezustannie głód, niczem nienasycony, niczem nie dający uśmierzyć się głód.

Głód żądy i rozwścieczonej chuci, głód potęgi i chwały, który świat cały w perzynę obracał, w jelitach ziemi konwulsje wywoływał, a na niebie skłębiał chmury w potworne cielska, szarpiące się wzajemnie, wżębione w siebie, mocujące się z sobą, by się w kawały porozrywać — głód poznania i dociekania ostatnich przyczyn: prościuteńką drogę do domu obłąkanych, rojącego się od bogów w przepotęźnym majestacie tępego ogłupienia, nagich potępieńców, rozwalających sobie tyse czaszki o żelazne wrota, a wśród tej gromady obłąkańców i furyatów tronował potężny Dalai-Lama, który wszelką wiedzę posiadał:

z nagiego szkieletu, pokrytego pergaminową, w głębokie fałdy pomarszczoną skórą, zwisał wypłowiały, szkarłatny łachman, a na głowie sterczała śmieszna, ze słomy spleciona infuła namaszczonego Hierofanty.

Ha, ha, ha!

Ależ to nic! Ten głód mógł się jeszcze doślojnym wydać — ale mógł być potwornym, gdy jął świętości wytwarzać: Głód, który pędził tysięczne zastępy na niezdobyte szanice i wały, wypełniał fosy nieprzeliczonymi trupami, a z porozrywanych, poszarpanych, kulami podziurawionych ciał tworzył żywe pomosty dla nieprzebranych hufców, które nowe wały dla jeszcze żywych tworzyć miały — bez końca, bez miary na to tylko, by wreszcie Zwycięzca

wśród krwi oparów, wśród rżenia i zwierzęcego wycia konających, mógł zatknąć na zdobytych grodzie chorągiew z napisem, jako, że jest słodko za Ojczyznę umierać!

Mógł być dreszczem grozy przesywający głód osiągnięcia wiekuiestej chwały, który kazał bezbronną, innowierczą ludność w pień wycinać, miasta i sioła z ziemią równać, na całej ziemi stopy ognia rozpałać, w który wrzucano żywcem bezliczne zastępy męczenników.

Tak! ten głód był potworny, groźny, nie-ludzki, ale majestatyczny i potężny w swym rozszalałym rozpędzie, w swej rozjuszonej, wszystko druzgoczącej potędze —

ale śmieszny i ordynarny i głupi stawał się Głód kurczącego się, gniewnie burczącego żołądka — Kapłana Sztuki!

Gasztował ryknął boleśnym śmiechem.

To już groteskowa, chimeryczna karykatura Głodu!

To jakiś bestjalnie głupi Sancho Pansa, który zbiedzoną Rosinantę najszlachetniejszych porywów wyniosłego Don Quichota z wszystkich sił za ogon powstrzymuje — to sprośny, bezczelny Marcholt, targający za poły w niebieskie dziwy zapatrzonogo Fausta:

niczem w swej bezecnej śmieszności uporczywa czkawka, przerywająca uniesienia miłosne, kurcze żołądka w chwili bohaterskich przysięg, niczem nagły ból zęba podczas wniebo-

wzięcia najszczytniejszych natchnień i objawień, wobec tego głodu — Kapłanów Sztuki!

Znowu wybuchnął Gasztówł długim szyderczym śmiechem — śmiechem rozpacznej, a niedalekiej perspektywy większej jeszcze nędzy, powolnego konania z tego śmiesznego, ordynarnego głodu — i to wszystko dla — Sztuki!

Już mu teraz było wszystko jedno:

niechby już teraz Harpije zanieczyszczały jego posiłek — onby go jednak przełknął, byleby go tylko znalazł —

niechby wino jego wstrętną, piolunową gorzkością było zaprawione, onby je jednak wypił, by tylko ugasić ten pożar, który mu trzewia przepalał —

niechby się cięższe jeszcze przekleństwa spełniły, któremi Sztuce poślubiony został, byleby się tylko pozbyć tego dojmującego bólu Głodu.

Ha, ha, ha! ryknął na cały głos.

I opętał go nagły bunt przeciwko temu wyniosłemu — ach i jak wyniosłemu! — krztusił się od śmiechu — pra-pra-wyniosłemu pragnieniu, by najpotworniejsze i najpotężniejsze objawy głodu duszy ludzkiej w widomych kształtach ucieleśnić.

Miał ochotę rzucić się na swoje płótna, poszarpać je w kawały, stos z nich utworzyć, zapalić, cieszyć się skwierczeniem olejnej farby, oddychać smrodem tłącego się płótna — ale nie miał sił na to.

Zapalił papierosa i w nagłym przeskoku ogarnęła go — Nuda.

I tą już malował. Nieraz już malował beznadziejną, głuchą nudę głodu, ale ta, która go teraz opanowała, była tak rozpaczna, że zdawało się być z wszech miar najwyższego podziwu godną.

Zdawało mu się, że cały świat, to jakiś olbrzymi Lewiathan, który jego, Jonasza, kapłana, proroka Sztuki był połknął, a teraz z rozdziawionej nudą paszczy wyrzucił na tę nędzną sofę, która się też nudziła w zgrzytliwym pisku sprężyn za każdym poruszeniem ziewającego nań człowieka.

Jego płótna zionęły przeraźliwą nudą wyjałowienia i bezsily, z każdego kąta ziała nuda, a nawet buty jego, na które skupił teraz uwagę, zdawały się ziewać, bo podeszwy od wierzchów gwałtownie się wyzwałały.

Tak go ta nuda pochłonęła, że nawet nie czuł, jak lęk i przerażenie i groza jutrzejszego dnia dziś już pracowitymi ząbkami jakiegoś wstrętnego Ichneumona nerwy jego przegryzała, a po policzkach spływały gorące łzy bólu, osamotnienia — niemocy...

Zawstydził się głęboko i był zły na siebie, ale łagodna poświata rozżalenia łagodziła wzburzone fale gniewu, który go już jął opanowywać.

Musiał się czemś rozerwać, tem więcej, że

wstyd i gniew i nieustąpiły jakiś upór coraz więcej się w nim wzmagają:

Teraz pójdzie na ulicę! Tak! musiał teraz pójść, chociaż nie miał centyma przy duszy.

Ale już sama ulica go rozerwie.

Ulica! ulica! Oczy zdawały mu się z orbit wysadzać.

Ulica! Czyż można pomyśleć potężniejszy symbol życia ludzkiego?! Czyż jest jakieś objawienie, z którymby się mogło to przepo-
tężne, wszystkie nieba i piekła obejmujące objawienie głodu dać porównać?!

Ulica! Ulica! krzyczało w jego duszy.

A nikt jeszcze nie namalował ulicy!

A, a! walka na barykadach Delacroix'a: ten piekielny głód wolności — wspaniałe! Ale to jeszcze nie to... tam powinien być szatan wkręcić swe pazury w włosy kobiet, dzieci, starców, wlec je za sobą, tworzyć z nich nowe barykady — mury powinny się rozbewnieć w zacieklej walce, bo mur ulicy to żyjąca jednostka, zacieklejsza jeszcze od człowieka — to wszystko za mało...

Ulica! Ulica! wrzało i wyło w jego duszy.

Ulica sprośnych targów, żądzy i wszelakiej wsteczności — ulica skrytych mordów i skrytych miłostek — ulica radością pijanych nadziei i w konwulsyjnym płaczu taczających się zawodów:

Rozwój się najdzikszym wrzaskiem rozpaczy, obłąkana ulico!

Ulica milczała.

Ha, ha, ha!

Ulica opastych wieprzów, którzy nie mają czasu, jak owi najsprawiedliwsi, siedem razy na dzień grzeszyć, tłuszczeniem cnoty ociekających dewotek, pławiących się poza kościołem w gnojówce obrzydłego niechlujstwa:

Chrząknij obmierzły ryju ulicy!

Ulico, dysząca piekielnym głodem wolności, która budujesz barykady i którą przebiegają nieprzeliczone szeregi nędzarzy, kalek, prostytutek, złodziei, nożowników do smrodliwych nocnych przytułków, ulico z lichwiarskim lombardem, do którego bram ciśnie się w czasie karnawału żądna użycia ciżba:

Rozwrzeszcz się wściekłą radością życia!

Ha, ha! Ostatni łachman idzie na zastaw, głód jutrzejszego dnia zęby szczyrzy, ale czym głód żołądka wobec głodu użycia!?

Raz jeszcze, raz ostatni!

A szatan rozpostarł błogosławiącą ramiona i uśmiecha się dobrotnie:

Upijajcie się!

Ha, ha, ha!

Ulico giełdy, wchłaniająca w siebie głodem złota opętanych giełdziarzy, wyżygująca ich potem na bruk, priapiczna ulico o północy z stadami z głodu zdychających samiczek i potwor-

nych, z nadmiaru chuci, gdyby tabun ogierów rżących, satyrów, ulico godów weselnych, tryumfalnych pochodów, jak żywy mur kroczącej czerni, która pracować nie chce i z głodu wyje:

Rozszalej się ulico — głośniej, głośniej jeszcze, bym krzyk Twój w barwy mógł ująć, bym go roztopem oszalałych tęczy na płótno mógł przelać!

Napróżno.

Napróżno mógłby tak bez końca odmawiać tę groźną, ponurą litanję do ulicy, bo nie znał nic, w czemby się wszechwładniej i potężniej objawił głód ludzki — ale to wszystko, co namalował nie krzyczało jeszcze, nie postyszał, nie widział w swych płótnach tego krzyku ulicy — a tego dokonać musiał!

Zaciął zęby — nim skona z głodu — ten krzyk namaluje!

Opadł znowu.

Miał to uczucie, jakby siedział na wierzchołku pagórka w wygodnych saneczkach na świeżo spadłym śniegu. W dole błękitniała w zmroku głęboka kotlina, a naprzeciw rozłożył się wyższy jeszcze pagórek.

Jakaś niewidzialna ręka trąciła sanki.

W błyskawicznym locie zbiegły na dół w dolinę, ale rozpędowa siła była tak wielka, że starczyła, aby się mógł na drugi wierzchołek dostać.

Spojrzał w dół: ach! tam w dole ulica, ja-

rząca się od światła lamp elektrycznych w wystawowych oknach sklepów — na trotuarach mrowie ludzi, a środkiem ulicy przelatywały elektryczne tramwaje.

Dochodził go głuchy rozhovor i rozgiełk ulicy, wpatrywał się w jedną i w drugą stronę płynącą, wymijającą i wzajem przesywającą się falę ludzi i zatęsknił, by się wmieszać w ten tłum, dać się fali ponieść, dokąd go ponieść zechce i tam spocząć, gdzie go na jakiś brzeg wyrzuci.

Zerwał się.

— Tak! postanowił nieodmiennie — bezwarunkowo musiał teraz pójść na ulicę!

Drgnął:

-- A może ją teraz spotka?!

Ha, ha, ha!

Ależ czemu nie?! Owszem — owszem! Nawet byłby bardzo zadowolony z tego szczęśliwego wypadku. Wyraziłby jej nawet głęboką radość, iż udało mu się ją spotkać, bo przy tej sposobności postyszy jej — głos.

Słyszał wprawdzie jakiś straszny krzyk, ale nie był pewien, czy to był jej krzyk, czy też jego własny wewnętrzny. Skoro tylko postyszy jej głos, to już będzie wiedział, do kogo ten krzyk przynależał.

A jemu właśnie o ten krzyk chodziło!

Nie potrzebuje całkiem krzyczeć, starczy, by tylko jej głos postyszał — a miał to absolutne przeświadczenie, że gdy go postyszy, to

go i rozkrzyzczyć potrafi, a wtedy stworzy coś tak niesłychanego, o co się żaden jeszcze człowiek nie pokusił.

Wtedy namaluje mowę ulicy!

To, co dziś rozpoczynał, to całkiem nieudana próba — ale wiedział, że jest w stanie namalować mowę ulicy — na razie tej cmentarnej, ostatnim wysiłkiem i beznadziejną walkę wyczerpanej, z wszystkich złudzeń i nadziei odartej, wyblakłym kirem bezustannych, bolesnych zawodów przyobleczonej ulicy.

Wtedy dopiero jego obrazy ożyją — wtedy, gdy im mówić i krzyczyć rozkaże — wtedy to wszystko nabierze tajemniczego życia i głośno się rozkrzyczy, ale koniecznie musiałby jej głos — głos ulicy postłyszyć.

Mógłby ten głos ostatecznie wygrać, zmusiłby swoje skrzypce, by ten głos, ten krzyk z siebie wydały.

Ale nie miał skrzypiec — spojrzał na ścianę, gdzie niegdyś wisały... Och! jak ciężko było mu się z niemi rozstać... zawstydził się, że jeszcze teraz uczuł bolesne ukłucie na ich wspomnienie — a przecież pozbył się ich, by mu w pracy nie przeszkadzały, by ton barwy mu nie zabijał, a przynajmniej nie mącił.

Kłamstwo! syknął nagle.

Pocóż się w heroiczną tokę stroić! ? Pozbył się ich, sprzedał je, by zapłacić całoroczny czynsz za atelier!

O błogosławione skrzypce, które mu spókoj i dach nad głową dały, że nie potrzebował jeszcze szukać przytułku u drzwi trędownych, gdy go wichry i słońca spędzą z legowiska.

A szkoda, szkoda, że ich teraz nie miał! Możeby z nich zdołał ten głos — ten krzyk wydobyć!

Ale myśli jego poczynały się nużyć, przewlekały się sennie i leniwie po jego mózgu — wsłuchiwał się jeszcze w nie, ale jakby im nie dowierzał, ale był mocno roztargniony, bo z pod jednego wściekłego nakazu wyłamać się nie mógł: musiał teraz iść na ulicę!

Szarpnął rzemieniami, którymi był do żelaznego muru rzeczywistości przytroczony.

Przecież nie miał jednego centyma przy duszy!

Rozejrzał się bezradnie po pracowni:

tu już wszystko przeszukał — zaglądał nawet między szpary podłogi.

Jał się znowu macać po kieszonkach i drgnął:

namacał pierścionek.

Odetchnął głęboko i wraz się na siebie rozgniewał:

Jak można być tak lekkomyślnym! Nosić taki pierścionek w kieszeni jak prostą koprowinę;

Jak łatwo mógłby go zgubić, zwłaszcza teraz, kiedy bezustannie jest tak niepojęcie roztargniony...

Otworzył szufladę od stolika, znalazł wśród najrozmaitszych tub od farb, guzików, szydeł, pendzli stary stalowy łańcuszek od zegarka, przymocował starannie pierścionek do łańcuszka, i wpiął go do kamizelki.

Aha! uśmiechnął się — teraz będzie wyglądało, że mam zegarek — doskonale! A miałem istotnie kiedyś zegarek, nawet złoty — i skrzypce miałem, piękne, stare skrzypce, a pozostał tylko przez mole zżarte futro, którego nikt kupić nie chciał.

Zimne dreszcze go przeszły, gdy patrzył na ten pierścionek i powtarzał obłudne słowa matczynego przekleństwa, które się co do joty ziszczają zdawały.

Był w tej chwili przerażony nagłą myślą, że mógłby wejść do jakiejś knajpy, kazać sobie dać jeść i pić, a potem pod pozorem, że zapomniał pieniędzy, dać go jakiejś kelnerce w zastaw.

Lecz, aczkolwiek myśl ta wydała mu się potworną, że czyjeś obce ręce mogłyby się tego pierścionka świętokradzko dotknąć, że czyjeś obce oczy mogłyby jego wartość szacować, to jednak wiedział z niechybną pewnością, że to zrobi: siła, ciągnąca go na ulicę była tak nieprzeparta i nieprzewycięzalna, że się już dłużej nie zastanawiał.

A więc w najgorszym razie da ten pierścionek, jakiejś kelnerce w zastaw — tak! to

zrobi, bo musi zobaczyć ludzi, bo rozkosz mu to sprawi, jeżeli oczy jego klucę wędzie światło, przedzierające się z smrodliwej lampy poprzez mgły dymu nieprawdopodobnie obrzydliwych cygar — w zachwytyt wpadnie, gdy pocznie się krztusić od zapachu starej słoniny, na której obok w kuchni przyrządzano wszystkie potrawy — będzie wstuchiwał się w wrzaski pijanych robotników, wdychać w siebie zgniłe powietrze, przesiąknięte obrzydłą parą fuzlu i piwka — tak! wtedy uczuje się szczęśliwy, bo nigdzie tak głęboko nie można wdychać w siebie ulicy, jak w tych podziemnych norach i spelunkach.

Rozśmiało mu się w duszy: może ujrzy jakiś sprośny taniec — ten o którym tak często myślał, ten niewypowiedziane trudny do namalowania w swoich łamańcach, konwulsyjnych drganiach, bestyalnych podrzutach...

Może posłyszyc jęki rozstrojonej harfy, które — jak on to już raz powiedział? — aha! ostremi szydłami będą mu bębenki uszu dziurawić: skrzyczący pisk skrzypiec, po których strunach błędziły palce jakiegoś starego opoja; jakaś filuterna Mańka zatańczy bezwstydną Oj-rę, a pijana Tosia będzie się darła na cały głos:

„Miałam kawalira, utopił się w studni,

„Ja żałobę noszę, aż podłoga dudni...“

Brawo Tosiu! Brawo! Ty masz istotnie giest, którym życie dystansujesz:

„Podłoga aż dudni, buciki pękają —

„Niech się takie durnie we mnie nie kochają!“

Był nad wszelki wyraz uradowany, że to wszystko posłyszysz i zobaczysz, wymiółł skrupulatnie z swego mózgu wszystkie myśli, któreby mu mogły zamącić wesoły i prawie odświętny nastrój, w jaki się wreszcie wprawić zdołał, nacisnął z szeroką fantazją kapelusz na głowę, świsnął laską w powietrzu i wyszedł na ulicę...

*

*

*

Na ulicy przystanął.

Czuł się trochę osłabiony, ale to pewnie tylko przywidzenie, bo przeciwnie był przecież podniecony i prawie wesół, a może też było coś w nim z rekonwalescenta, dla którego pierwsze kroki są trudne, a potem — jak się taki pan rozchodzi — toby i chołupce z radości w powietrzu wybijał.

Gasztówt szybko przeszedł przez główną ulicę: wydała mu się wstrętą i ordynarną swoją dorobkiewiczowską pychą, porządkiem, bezpieczeństwem, bezdennie haniebną hypokryzją — jednym słowem była to pokraczna i niesmaczna karykatura ulicy:

za wązką dla tryumfalnego wjazdu jakiegoś zwycięzkiego Cezara, który pół świata był podbił — za szeroką, by nędzarz, wypchnięty daleko poza obręb porządku, sprawiedliwości i cnoty obywatelskiej, mógłby tu barykady bu-

dować i, jeżeli nie poszanowanie dla siebie, to przynajmniej lęk i przestach „porządnych“ sobie wywalczyć — więc czempredzej skreślił w wązkie zaułki: ten istotny świat ulicy, której głód nicował wszystkie wartości, rozszerzał skrzydła duszy ludzkiej do zuchwałych wzlotów, nędzarzowi pozwalał zapanować nad moralną potęgą złota, a stęchłą krew wydziedziczonych rozpałał do kipiących rozmachów, które trony wywracały...

Instynktownie kierował się w stronę zapadłego kąta, gdzie poczynił kiedyś swoje najpiękniejsze i najwięcej wartościowe studia do swej ogromnej syntezy, w jaką ulicę ująć zapragnął.

Znał tam małą podejrzaną kawiarnię, w której kiedyś całymi nocami przesiadywał, wświdrowywał się w duszę tych tajemniczych ludzi, kryjących się w mrokach, żyjących niewiedomo z czego, ludzi, którzy tłumili w sobie dzikie nienawiści i żądze pomsty i takich, których ostatnia nędza i zbrodnia zniechłuiła, ale w każdym z nich znalazł coś niepochwytnego, co mu się niejednokrotnie wydało być zarodkiem, z jakiego coś dostojnego wylęgnać się mogło, wszystko jedno, czy w wielkiej zbrodni, czy też w wielkiej cnotce.

Był wysoce zadowolony z tych spokojnych, rzeczowych i, jak mu się zdawało, odświętnych rozmyślań: to w każdym razie uśmierzało na razie jego dostojny, namaszczoney głód.

— Tak! wszystko jedno — powtarzał maniacko, — byleby tylko nie było pospolitem, nie cuchnęło obrzydliwym sadłem porządku społecznego, pod którego dobrotną opieką panoszył się nierząd, bezprawie i ohydny, druzgoczący cynizm pieniądza — byleby tylko zachowało dostojęństwo istotnej ulicy, kolebki wszystkich przewrotów i rewolucyi, ulicy, krzyczącej wściekle, żadnych zapor nie znające, pianą rozjuszonych bałwanów morskich kipiące:

Ça ira!

Toteż z dumą i z nabożnym szacunkiem rozglądał się po czarnych, starych domach, z których każdy wyglądał na szyfrowane pismo — och znać ten klucz, którymby można ich tajemnice i zagadki rozwiązać! — stąpał po wyboistym bruku, którego ostre kamienie boleśnie mu dokuczały, gdyby po głębokim, miękkim dywanie, a wrzask, krzyk, śmiech, przekleństwa, które raz po raz z piwnic i suteren go dochodziły, wydały mu się rozkoszną przygrywką do śmiertelnych, a chwały pełnych bojów — dalekim a złym pomrukiem oceanu, który zwolna swe spienione fale toczy, by niebosiężne twierdze porządku i pieniądza szturmować:

Ça ira!

Ale nagle zaczął opadać po tem chorobliwym podnieceniu: cały był spotniały, w nogach czuł wielkie znużenie i uradował się, gdy w po-

bliżu ujrzał tak mu dobrze znajomą latarkę, zwiastującą, że policja jeszcze szlachetnej knajpy „pod dzikim Rysiem“ nie zamknęła.

Przeszedł przez szynkwasy, odgradzony deskami od przyległego pokoju, wszedł do prawie przepelnionej „kawiarni“, w której wszystkiego można było dostać, prócz kawy, znalazł w kącie miejsce przy małym stoliku i siadł.

Kawiarnia, jak zauważył, uległa od czasu, kiedy tu ostatni raz był, znacznemu przeobrażeniu. Wydała mu się obszerniejszą, była świeżo odnowiona i całkiem przyzwoicie się prezentowała.

Pomacał kieszonkę od kamizelki.

Pierścionek miał, więc wszystko było w porządku, czuł się zatem nieźle i był całkiem spokojny o to, co dalej nastąpi. Zresztą czuł wyraźnie, że tu mu nic złego stać się nie może, tem więcej, że kelnerka, która się teraz do niego zbliżyła, wydała mu się bardzo sympatyczną.

Miała twarz obrzękłą, głęboko melancholijną i wybatuszony, w czarnych obrączkach osadzone oczy.

Zamówił sobie kielbasę z kapustą, którą tu, jak sobie przypominał, zawsze i o każdej porze dostać było można, dużą szklanekę piwa i większy kieliszek „wzmocnionej“.

Jadł powoli i jakby od niechcienia, bo nie chciał, by ktoś przypadkowo zauważył, iż

jest głodny, ale ponieważ mu jedzenie bardzo smakowało, więc zamówił sobie jeszcze jedną porcję, kazał sobie przynieść jeszcze jeden duży kieliszek wzmocnionej wódki i kilka papierosów.

Znowu pomacał się po kieszonce: wszystko w porządku — zresztą był przekonany, że ta obrzękła kelnerka, jakby wykrojona z jakiegoś obrazu Rubensa, czy też Jordaensa, żadnego wstrętu nie będzie mu robiła.

Przyniosła wszystko, co sobie życzył i powlokła się sennym, melancholijnym krokiem do dalszych stołów, a Gasztowt zjadł znowu wszystko od niechcenia, miał ochotę zamówić jeszcze trzecią porcję, ale wykombinował, że mógłby tem sam zdradzić swoje haniebne wygłodzenie, a toby mogło znowu wzniecić podejrzenie: możliwe, że już teraz musiałyby swój pierścionek pokazać, a on tę chwilę chciał odwlec aż do czasu, kiedy już ostatni gość wyjdzie.

Dziwnie cicho się tu wszystko odbywało: ludzie nie krzyczeli, nie kłócili się — mówili szeptem, oczyma, krótkimi gestami — nie posłyszał również śmiechu: tylko raz po raz ujrzał lekkie skrzywienie ust, ściągnięcie mięśni twarzy i to zdradzało coś, coby uśmiechem nazwać można — ale nic więcej.

Przy pobliskim stole siedziało kilku ludzi, grających w karty: jeden z nich trzymał bank, drudzy ciągnęli karty.

Gra odbywała się w uroczystem skupieniu — gracze jakby byli skamienieli: żadna mina nie zdradziła, co się w duszy gracza działo na widok kołem toczącego się szczęścia. Nie sposób było odgadnąć, kto wygrywa, a kto przegrywa — tak dziwnie obojętnie płacono przegraną — i, jakby od niechcenia i w zupełnem roztargnieniu zgarniano wygrane pieniądze. Ruchy rąk graczy robiły wrażenie automatycznej maszyneryi, oczy były przygaste i zaledwie raczyły spojrzeć na karty, a twarze tak obojętne, jakby chodziło o nudną, piekielnie jednostajną pracę fabryczną, a nie o dość poważne sumy, jak Gasztowt zauważył.

Przez chwilę tylko nastąpiło nieme poruszenie.

Jeden z graczy przychwycił rękę bankiera i z rękawa jego wyciągnął kartę: wolta się nie udała.

Gasztowt postyszał głuchy huk pięści, pod której obuchem niefortunny bankier z stołka się zwałił — ujrzał go przez chwilę dyndającego w powietrzu, potem ujrzał, jak przez tylne drzwi z piorunującą szybkością i niesłychaną precyzją wyleciała postać ludzka — i, jak gdyby nic się nie stało, gra rozpoczęła się na nowo.

Gasztowt był zachwycony.

W jakim klubie, choćby najwięcej arystokratycznym, w jakim najwięcej wyłącznym

salonie zdołałby odnaleźć równie dobrze wychowanych ludzi!

I jakim olbrzymim zasobem inteligencji, bystrości, rzutkości i gentlemańskiej dyskrecji musieli ci ludzie rozporządzać, jeżeli zdołali porozumiewać się krótkimi, nieznacznymi, za ledwie dostrzegalnymi ruchami, na błysk sekundy trwającymi sygnałami oczu i prawie nieuchwytną grą mięśni twarzy!

Och! jak mu tu dobrze było! Nigdzie nie mógłby się lepiej czuć!

To prawdziwy raj dla dobrze wychowanego człowieka — i w jakim tu błogim spokoju można było trawić!

Contrast w swoim wyobraźni
sobie różne myśli, które
władni jako menedżerów, a
potem stwierdzenie, że były one
studo.

Jedna rzecz go tylko niepokoiła i drażniła. Czuł na sobie czyjs wzrok, który coraz ciężej się na niego słał — czuł go dokładnie jak istotny ciężar, tak że mimowoli się nad stolikiem pochylił... już od dłuższego czasu czuł ten przykry masaż czyichś oczu, ale coś mu nie pozwalało zwrócić głowy w tą stronę, teraz stawał się ten wzrok tak nieznośny, że spojrzawszy jednak w stronę, z kąd czuł jego moc.

I ujrzał twarz, do której te oczy przynależały i nie mógł się od niej oderwać.

Jakby z spiżu była wykuta: każdy rys ostry i hardy wydawał mu się niezdołym szarpiem woli, wąskie usta ścięły się jakimś złem postanowieniem, przygasły oczy: skąd ich siła? pomyślał — zdawały się być cienką błonką powleczone, którą lada chwila piorunowy trysk ognia przerwie, a wielkie czoło betonowym skle-

pieniem opancerzonej wieży fortecznej, do której kazamatów nie tak łatwo się wdrzeć.

Z coraz większą ciekawością badał tę dziwną głowę. Wydała mu się dziwną syntezą Cezara, awanturniczego Rinalda, krwiozerczego Nena-Sahib, ale naogół była mu ta twarz wysoce niesympatyczną tą swoją maską obojętnej apatii, sennego znużenia, w pół roztargnionej, w pół wzgardliwej nonszalancji, a co najdziwniejsze: hermafrodytycznej zniewieściałości.

Teraz spotkały się ich oczy: błonka na oczach nieznajomego zdała się pękać, bo wybiegło z nich małe światełko, lekceważącą pufałością roześmiane, ale na chwilę, bo już zaczęło się rozszerzać, mienić się, nabierać blasku i siły, a nagle stało się źródłem, z którego buchnął strumień zimnego, przenikliwego chłodu.

Gasztowta zimne dreszcze zdjęły.

Poznał te oczy — te same, które go onegdaj przewiercały, kiedy oglądał na wystawie swoje obrazy.

W pierwszej chwili ogarnął go paniczny lęk, chciał się zerwać i uciec, ale w tej chwili się opanował: czegoż on się miał lękać? Zkąd to chore przywidzenie — przecież ten człowiek widocznie go nie zna: patrzy pogardliwie i obojętnie, teraz się spokojnie odwrócił...

Do stołu, przy którym nieznajomy siedział, przystąpił jakiś mężczyzna i kobieta. Nie wi-

dział ich twarzy, bo byli tyłem do niego zwróceni, zauważył tylko, że nieznajomy skinął im surowo i rozkazująco i coś im przekładał. Zdawał się teraz być człowiekiem, który nie znał żadnych tłumaczeń, nie uznawał niczyjego zdania, któreby się jego sprzeciwić mogło, przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa i sprawności w wykonywaniu swoich rozkazów — to urodzony „wódz“, pomyślał nagle Gasztowt — stanowczo herszt bandytów — a ten mężczyzna i kobieta, to prości wykonawcy jego woli. Tu musiało chodzić o jakąś ważną rzecz, pomyślał, i cieszył się, że jutro wyczyta w jakiejś gazecie dokładne sprawozdanie o całej tu obmyślanej, a raczej zadecydowanej kampanii rabunkowej.

Na błysk sekundy ujrzał skrawek profilu twarzy kobiety.

Zatrząśł się cały.

To ona! ona! chciał się za nią porwać, ale już znikła.

Co się z tobą, człowieku, dzieje? ofuknął się nagle i był wściekły na siebie — teraz oczywiście w każdej kobiecie będzie się jej dopatrywał! Jakie to śmieszne i głupie!

I, aby raz wreszcie nie dawać przystępu chorym majaczeniom, odwrócił się i szukał pilnie czegoś, na coby mógł w innej stronie swą uwagę skupić — czegoś, coby jego chorej fantazji nie podniecało.

Tuż naprzeciw niego przy stoliku obok ściany siedziała młoda para: kobieta i mężczyzna.

Chociaż ich przedtem nie zauważył, wiedział, iż przez cały czas unikali, by na siebie spojrzeć i ani słowa do siebie nie przemówili.

Jej twarz widział dokładnie: zimną, spokojną, lodowatą i na wskrós obojętną.

Głowę jego widział z tyłu: ciężką, bezwładną, jakby jakimś strasznym ciężarem w barki włożoną i głęboko pochyloną nad stołem.

Ale ile razy ta głowa się podnosiła, ile razy widocznie ich oczy się zmierzyły, twarz kobiety potworniała dzikim, jadowitym uśmiechem, stała się stalowym batogiem, bezlitośnie chłostającym twarz jego zimnem szyderstwem, wyzywającą pogardą.

Gasztowt jął śledzić tę niemą scenę z nateżoną ciekawością, a nagle zaparł mu się oddech w piersiach.

Widział jak najdokładniej, jak plecy mężczyzny się wygięły gdyby u dzikiego kota w obronie, przeczuł rękę, która się zwolna wysuwa, pełza po stole, a nagle postąpił słumiony krzyk.

W żelaznym oplocie wściekłej ręki wygięta się kobieta, zsunęła się na podłogę, ale nikt na to nie zdawał się zwracać uwagi.

Jedyny tylko „wódz“ powłókł sennym wzrokiem po tej parze, która ośmieliła się przerwać jego ciężką zadumę niefortunnym wybuchem

niesfornej sceny małżeńskiej, czy też zazdrości kochanka.

Gasztowta uwagę tak pochłaniały te wszystkie spostrzeżenia, te nadzwyczajne rzeczy, które się tu w głębokim milczeniu, a co najwyżej w pół-szeptcie i pół-zmroku odbywały, że teraz dopiero zauważył, iż od jakiegoś czasu stał na podwyższeniu młody mężczyzna i grał na skrzypcach, a obok niego siedziała na stołku młoda kobieta i akompaniowała na harfie.

I było to, jakby się z głębokiego snu był przebudził.

To, co mu się milczeniem wydało, było właściwie teraz swobodnym, wprawdzie nie krzykliwym, ale całkiem wesołym, towarzyskim pogwarem.

Kobieta, którą niedawno był ujrzał żelazną ręką jej towarzysza skręconą pod stół, podnosiła jak najspokojniej chusteczkę z ziemi, która jej była przed chwilą upadła. Kamienny „wódz“ zapalał flegmatycznie papierosa i słuchał bez widocznego zainteresowania lubieżnych szeptów obok siedzącej, nadmiernie wystrojonej damy — tuż przy najbliższym stoliku posadził sobie jakiś gogo niesforną kobietkę na kolana, która nogą wypukiwała takt muzyki na stole, przy czem huśtała się w dość nieprzyzwoity sposób — bankier, którego widział przed chwilą wylatującego w parabolicznym rzucie przez tylne drzwi, tasował znowu jak najspokojniej

karty, a obrzęka kelnerka z melancholijnym, czarnem podkuciem pod beznadziejnie wybaluszonymi oczyma, wносиła z hyżością, nie licującą wcale z jej Rubensowską tuszą, a raczej wodną puchliną, coraz to nowe flaszki z przeróżnymi trunkami.

Gasztowt chwilę się zawahał, czyby i on nie mógł jej poprosić teraz — już nie o kieliszek „wzmocnionej“, ale o całą szklanekę — ale namacalny dotyk pierścionka w kamizelce poczył go, że się wcale wahać nie potrzebuje — poczuł hardą butę i pewność siebie: w mig otrzymał, o co prosił.

Chwilę było mu żal wytwornego snu w przyćmionem świetle, przytłumionych głosach, wielkopańskich ruchach — ale jeżeli mógł się do tego przyzwyczaić, że widział teraz pierwotnie potrójnie i poczwórnie widziane postacie w normalnych proporcjach, więc nietrudno było mu się pogodzić z całą gwałtowną zmianą sceny.

Teraz go całkiem pochłonięła muzyka.

W zamglonym jego mózgu przetwarzały się banalne tańce, walce, oklepane salonowe melodje w całkiem coś innego. Skrzypek wydał mu się doskonałym wirtuozem, który grał z wielką brawurą i głębokim zrozumieniem tego, co grał — a co najważniejsze — grał perspektywicznie i Gasztowtowi sprawiało to prawdziwą przyjemność, wykreślał dla tych

głupich, sentymentalnych, a nawet całkiem bezmyślnych melodji ich właściwą perspektywę: taką, jaką ów wirtuoz jak najwidoczniej swą grą sugerował. W takt tego walca naprzykład, który go zwykle swą banalnością maltretował, widział wirujące pary ludzi, którzy nic już nie mieli do stracenia, którym nawet już na flaszkę wódki nie starczyło, więc pragnęli się choćby wirem tańca upić. Widział wychudłe nogi tancerzy, naokoło których, gdyby na piszczałach, plątały się obdarte spodnie i słyszał świszczący oddech suchotnic i widział oczy gorączką trawione w zapadłych oczodołach i hektyczne wypieki na wychudłych twarzach, a dziwnie licowała z tem wszystkiem głupia, bezmyślna muzyka, jaką Szatan-Nędza dzieciom swoim do tańca przygrywa.

Ów coack-walke przedziwnie przedrzeźniał groteskową śmieszność małpy, która na dwóch łapach nauczyła się chodzić, człowiekiem się nazwała i teraz jest dumną z tego, że umie odtwarzać sprośne ruchy szatu pćciowego. Ów marsz — Żuawów, jeśli się nie mylił — był doskonałą podniętą dla bydłcego, niewolniczego tłumu, pędzonego na rzeź, która się wojną nazywa, a może tem wywołaną została, że Chiny nie chciały kupować angielskiego opium — jakie to wszystko marne, głupie i śmieszne w swej monstrialnej nędzy! nie dziw więc, że ta muzyka była głupią i śmieszną, a zarazem naj-

głębszą filozofją zatrąceńców — ludzi-małp, ludzi-szalbierzy i ludzi-bydła, w sam raz dostatecznie wypasionego, by go tak, czy owak do jatek móżdż popędzić...)

Dziś lubował się tą muzyką, któraby go kiedyindziej do rozpaczki była doprowadziła, bo widział ją w całym ogromnym szeregu obrazów: każdy takt nabierał wyraźnych kształtów, każda melodia odsłaniała mu coraz to nowe perspektywy: życie z ulicy wylaniało się z głębi w szubienicznych podrygach, w rozpasanych kontorsjach, wijące się w plugawych szatach, duszące się od ochryplego, pijanego śmiechu, przekleństw, złorzeczeń i bluźnierstw...

Tak, tak! trzeba umieć tylko słyszeć, trzeba umieć widzieć, co się słyszy, a wtedy wszystko staje się zajmującym, ciekawym i nawet najwięcej ponury nastrój przemienia się na słodką nutę bez troski, szerokiego gestu i wzgardliwego splunięcia w poczwarną mordę Życia.

Zrobił tyk z swej szklanki, zapalił świeżego papierosa i do cna się rozweselił, chociaż go troszkę począł trapić nostalgiczny sentymencik za nadwiślańskimi salonami tanecznymi „warszawskich“ nożowników, złodziei, rajfurów, w których filuterna Mańka wyskakiwała nieprawdopodobnie sprośną Oj-rę, a pijana Tosia darła się na cały głos:

Siostra utonęła na szerokiej rzece,
Brata mi zabili w karczmie na muzyce...

Przed chwilą milcząca i jakby odświętna kawiarnia rozgrzała się muzyką — rojną stała się i gwarną, a Gasztowt dokładnie teraz słyszał śpiewającą Tosię:

Miałam kawalira, utopił się w studni,
Ja żałobę noszę, aż podłoga dudni...

Brawo Tosiu — brawo! Pysznie cię namalowałem, jak czekasz w poczekalni na ratuszu i czekasz kolejki oględzin lekarskich — brawo Tosiu, brawo! dobrodziejko lekarzy skórnych chorób i sanatorji dla tabetyków — brawo Tosiu, pani szerokiego gestu, patosu, dystansującego życie:

Podłoga aż dudni, buciki pękają,
Niech się takie durnie we mnie nie kochają!

Brawo, Tosiu!

Ale w tej chwili wytrącił go z radosnej i tryumfalnej zadumy ów skrzypek-wirtuoz, którego przed chwilą tak podziwiał. Teraz trzymał talerz w ręku i czekał, aż Gasztowt coś na niego nie rzuci.

Gasztowt zmieszał się niepomiernie, bo wiedział, że ani złamanego szeląga przy sobie nie ma, rozejrzał się bezradnie, odwrócił się, jakby tem chciał dać grajkowi do poznania, że nie zamierza mu nic do talerza wrzucić, ale ten stał uporczywie przed Gasztowtem i potrząsał natrętnie talerzem.

— Proszę, spiesz się pan! postyszał Gasztowt, a było to wprost nakazujące.

— Ależ ja nic nie mam! wybuchnął wreszcie.
 — Tu trzeba zawsze coś mieć, tu każdy daje — słowa te — kłóły jak ostre, rozpalone szpilki.

Gasztowt znowu się rozejrzył z wzrastającym lękiem i bezradnością.

Cała kawiarnia wlepiła w niego oczy — zdawało mu się, że setki zaciekawionych, szyderczych ślepi na wskrós go dziurawi; słyszał brzęk monet na talerzu, którym bezwstydnym grajek ordynarnie potrząsał, a oczy jego zahaczyły się o oczy nieznanego — a wśród nagłej, zapartej ciszy, jaka w kawiarni zaległa, oczy te wydawały jakieś głośnie rozkazy. Błotka już teraz całkiem na nich pękła, a światło, które z nich szło, było zimnym mrozem przyszywające.

Próżno się Gasztowt z tym wzrokiem zmagił, czuł, że go podrywa i równocześnie trzęsie przed nim tym piekielnym, brzęczącym talerzem.

I w tej samej chwili wystrzeliła w jego mózgu tryumfalnie wybawcza myśl; uwolnił się nagle z uwięzi oczu nieznanego, wstał:

— Daj skrzypce! wydobył ochryłym głosem.

Grajek spojrział chwilę wahająco na niego. Gasztowt widział dokładnie, że się oczyma, a może plecami porozumiewa z tym piekielnym „wodzem“, czuł, że obydwaj byli w zmoiwie, ale to już mu było teraz obojętnem.

Wyciągnął ręce po skrzypce, grajek obrzucił go raz jeszcze bystrem spojrzeniem, a nagle, jakby spełnił czyjś nakaz, podał mu je z głębokim ukłonem.

Gasztowt wypróżnił szklanę, wstał, chwilę się zawahał, czuł, że potnieje, przyćmiło mu się w oczach, ale na jedną sekundę.

Poczuł dziwną moc w sobie, jaką daje gorączkowe podniecenie i ogień alkoholu, który się w żyłach jego gorącym ukropem rozlewał.

Nie wiedział dokładnie, kiedy wziął skrzypce do ręki, ale gdy już je trzymał, całkiem się opanował. Stroił je chwilę, potem nasunął kapelusz na oczy i czekał nieco, bo czuł, że czyjeś oczy pochwytyły jego duszę w żelazne kleszcze, że aż mu tchu zabrakło — spojrział mimowoli w stronę „wodza“. Siedział teraz sam przy stoliku, a twarz jego wydawała się Gasztowtowi ponurą, groźną, upiorną i nakazującą.

Gasztowt bryzgnął kilkoma akordami z taką siłą, że dźwięki te nie zdawały się z skrzypiec pochodzić — jakby je organy były zawyły.

W głuchej ciszy dźwięki zdawały się stokrotnie potęgować.

Raz jeszcze siepnął smyczkiem o struny, rzucił kapelusz, który mu widocznie zawadzał, o ziemię i zaczął grać...

Rozpoczął dzikim marszem Rakoczego w własnej parafrazie w niemożliwych oktawach i decymach, zmuszał skrzypce, że grzmiąły

całą orkiestrą, łączył go z Marsyljanką, splótł to wszystko z dyszącym z najgłębszej czeluści nędzy ludzkiej szarpiącym się chorałem: „Z dymem pożarów“, zawrzała wściekła, zapamiętała pieśń barykad, krocząca po stosach trupów wśród ryku dział, przedśmiertnych jęków, krzyków grozy i rozpaczy: *Les! la lutte finale!*

Goście spojrzeli zdumieni po sobie, a Gasztowt coraz więcej się podniecał i zapalał. Grał opętńczy, nocnym upiornym wichrem rozhułany, świszczący taniec nad ziejącą przepaścią, tryumfalny pochód śmierci, kroczącej dumnie po pobojowisku, szczerzącej zęby nad bogatą kością, grał grozę zmory, co po nocach słaćza się na piersi nędzarzy i dławi ich i dusi — grał wszystko, co kiedyś był namalował, grał ulicę!

I nagle zaczął się pilnie wstuchiwać, ażali nie posłyszcy tego głosu, którego namalować nie mógł, a był pewien, że go wygrać może.

Zapomniał, gdzie jest: wszyscy obecni słoczyli mu się w jakąś ciemną masę, w chimerycznego potwora, którego oczy tylko było widać — oczy szukające ofiary, chciwe krwi, dyszące zagładą i zniszczeniem, a — opętana, zahypnotyzowana temi oczyma, stała oparta o krawędź mostu niewiasta — widziała, jak z ciemnej ulicy wypełza potwór, ale ruszyć się nie była w stanie... Krzycz! krzycz! wołał Gasztowt. I w tej chwili posłyszal krzyk, tak straszny,

że zdawał się niebo na pasy drzeć: krzyk ten rozlał się w duszy Gasztowta opętaną gamą potwornych barw, jakimi się palą trujące gazy, jakimi tryszczy gotująca się ciecz przenajróżnorodniejszych metali, jakimi stroi się ogień wulkanu, drący na strzępy czarne zwały chmur...

Gasztowt osłabł, wyczerpał się, wydarł wszystko z siebie od samego dna, przeraził się, bo jakby się był nagim ujrzał.

Urwał nagle skowyczącym zgrzytem i odłożył skrzypce.

Publiczność szalała z zachwytu. Coś było w tej djabelskiej grze, co te „szumowiny“ poruszyło do dna, zimnym dreszczem zbiegło, do szpiku i kości nimi wstrząsnęło.

A Gasztowt stał cały drżący, nie zdawał sobie dokładnie sprawy, gdzie się znajduje, i co się z nim dzieje, to jedno tylko wiedział, że jeszcze coś zrobić musi, coś niepojętego, coś, co przechodziło granice jego zrozumienia, a co jednakowoż wykonać musiał.

W uszach jego dudniały jakby deliryczne słowa pokutnego psalmu:

„Wszystek wstyd i srom nałożę na Twoje barki, a Ty go poniesiesz —

„Posiłek Twój Harpyje zanieczyszczą i splugawią, a Ty go przełkniesz, boś głodny...

„Wino Twoje zaprawię wstrętną gorzkością, a Ty je wypijesz, boś spragniony —

„Ostre krzemienie podłożę pod Twoją głó-

wę, a Ty na nich spocziesz, boś ciężko znużon i chciw spoczynku jesteś —

„U drzwi trędowatych będziesz wyciągał rękę o grosz podróżny, gdy wicher i słońce Cię z Twego legowiska zerwie...“

Gasztowt zatoczył się — nie wahał się dłużej, podniósł prawie z pokorą kapelusz swój z ziemi i z wolna począł obchodzić publiczność.

Ta patrzyła na niego chwilę zdumiona, bo nie mogła pojąć, by ten, który co dopiero był wszechwładnie nad nią zapanował, teraz się o nagrodę upominał, ale datki posypały się hojnie i obficie, nawet z zapchanych kątów wysuwały się ręce, by garść miedziaków wrzucić do kapelusza.

Dotychczas plątał się Gasztowt z wyciągniętym kapeluszem między publicznością jak w somnambolicznym śnie: nie widział nikogo, nie zważał na ręce, które się ku niemu wyciągały, a nagle się opanował.

Wspaniała myśl strzeliła mu do głowy — to przecież nie dla siebie zbiera: to dla tego, który mu skrzypce pożyczył, by on mógł usłyszeć ten głos, ten krzyk, którego potrzebował, aby swój potężny obraz namalować — i odrazu shardział.

Przecież on niczego nie potrzebował — miał przecież swój pierścionek, a to dla niego starczy.

I to przeświadczenie, że nie dla siebie zbiera,

zrobiło go pewnym, śmiałym, wyzywającym prawie — zdawało mu się, że jest księdzem: zszedł właśnie z ambony, na której wygłosił co dopiero wzruszające kazanie o nędzy Ojca św. i teraz zbiera między swoją parafią — świętopietrze.

Potrząsnął kapeluszem, w którym łaskotliwie odezwał się dźwięk monety i spojrzął na okół siebie.

Spojrzenie jego zwiłtało się w tej samej chwili z oczyma „wodza“, które zdawały się iskrzyć nakazem, by do niego się zbliżył.

Gasztowt uczuł nagle, jakby nienawistną pogardę w sobie ku temu, który go wołał: jeżeli on sam nie raczył do niego przystąpić, on do niego nie podejdzie. I oczy ich chwilę się z sobą wzmagają jakby w złych, nienawistnych zapasach.

Twarz „wodza“ już nie była kamienną, już łyskał przez nią błysk szyderczego uśmiechu i Gasztowt widział dokładnie, że „wódz“ wyciągnął rękę z czemś lśniącym — pewno sztuką złota — ale Gasztowt potrząsnął tylko kapeluszem z niepojętym, śmiesznym uporem, bo chciał, by tamten do niego podszedł — uśmiechnął się ostentacyjnie, odwrócił się i podszedł do stolika, przy którym stał ów skrzypek-wirtuoz: wysypał całą zawartość kapelusza na talerz, ścisnął gorąco dłoń skrzypka, który —

dziwna rzecz — nawet nie podziękował i jakby pod ziemią przepadł.

Grzmoł oklasków rozległ się po kawiarni, że aż się szyby zatrzęsły: Ulica oklaskiwała jego warjacki odruch równie silnie, jak jego grę.

Ulica ma bogatą i hojną duszę, ulica jest wspinała i wielkopańską w swej nędzy i ulica sama ma dziwnie delikatne poczucie tego, co jedynie jest dobre i złe i nieomylny instynkt, którym umie odróżnić plewy od ziarna — cóż więc dziwnego, że Bóg-Chrystus tak ulicę ukochał?

Gasztowtowi w głowie się plątało, chciałby teraz najchętniej się złąd wynieść, ale przypomniał sobie, że oczekuje go jeszcze niemiła przeprawa z pierścionkiem, więc zamówił sobie jeszcze kieliszek wódki i czekał cierpliwie.

Zresztą bardzo dobrze, że jakiś czas przeczeka, bo w kawiarni stało się nieznośnie gorąco: pot lał mu się z czoła, więc gdyby wyszedł na ulicę, mógłby się łatwo zaziębić.

Podparł ręką głowę, która mu strasznie ciążyła — wszystko naokół zdawało się pod nim uginać, chybotać, wirować w dziwnych płasach; starał się uprzytomnić sobie, gdzie się znajdował, chciał się rozejrzeć, ale czuł takie znużenie, że terazby głowy podnieść nie zdołał, a przytem uczuł lęk, że ujrzy oczy „wodza“, który mu znowu coś potwornego zrobić każe... tak potwornego! Bo to, co przed chwilą przeżył,

wydało mu się tak nieprawdopodobnem, tak potwornem w całym bezwstydzie, z jakim duszę swoją do naga obnażył, że wszystkie te straszne proroctwa, związane z jego pierścionkiem, nagle wszystkie od razu się ziściły.

Głucha wściekłość zawrzała w nim gorącym ukropem — wiedział, że to wszystko zrobił z rozkazu „wodza“, że on go tu sprowadził, on tego grajka podmówił, by swój marny wstyd stokroć razy cięższym wstydem odkupił, a nagle przypomniał sobie, że „wódz“ mu jeszcze został winien — całą sztukę złota — tej mu nie daruje — nie daruje — wyprężył się i spojrział zdziwiony: cała kawiarnia była pusta — nikogo już w niej nie było, tylko w kącie przy łójówce siedział — tak! nie mylił się: ten natrętny, haniebny grajek i liczył pieniądze — chciał do niego podejść, przeprosić go — za co on go miał przeprosić?

Opadł znowu, i pogrzyżył się w ciężkiej zadumie — tym razem wcale nie przykraj — raczej szeroko powłoczystej, w kształt mglistych płacht, zasłaniającej wszelkie widnokregi...

Posłyszał nagle czyjś głos nad sobą:

— Czyż mogę przysiąc się do pana?

Gasztowt podniósł ociężałą głowę i ujrzał przed sobą — „wodza“. Wcale się nie zdziwił, dawno już się z tą myślą oswoił, że to ten Szatan, który mu niedawno te piekielne okulary nałożył, przez które ujrzał całą swoją niemoc i bezsilę — wiedział już, że go na każdym kroku śledzi, że z jego nakazu musiał w tej smrodliwej knajpie swoją duszę do naga obnażyć, tak jak się wczoraj w rzekę rzucił, by jakąś dziewczynę ratować — dawno już go oczekiwali, chciał nawet, by do niego podszedł — i — odetchnął — prawdopodobnie teraz on sam go do tego swoją wolą zmusił.

— Pan pozwoli, że siądę przy jego stoliku?

— Proszę, proszę — Gasztowt wskazał obok z szyderskim gestem, bo tam żadnego stołka nie było.

Wódz spokojnie chwycił pierwszy lepszy stołek przy sąsiednim stoliku i siadł obok Gasztowta.

— Weryho, moje nazwisko — powiedział uprzejmie — i w istocie zdały się kamienne jego rysy mięknać, wódz przeobraził się nagle w grzecznego, zniewieściałego Antinousa.

— Weryho? — uśmiechnął się Gasztowt — ależ proszę, bardzo proszę — Pan ma niezwykle ciekawą twarz, a ja jestem malarzem, wybuchnął nagle i zdumiał się, gdy posłyszał sam siebie.

Teraz się „wódz“ uśmiechnął.

— Wiem — wiem! Od obrazów Pańskich na obecnej wystawie oderwać się nie mogłem.

— Skąd Pan wie, że to ja te obrazy namalowałem?

— Prosta rzecz — byłem na Pańskiej wystawie i ujrzałem człowieka, który się niestychanie intensywnie tym obrazom przypatruje: tak patrzy tylko twórca na swój twór, pomyślałem — a, gdyś Pan tu dziś wszedł — na studia — nieprawda? poznałem Pana w tej chwili. Zresztą zdradził Pan swoją zdumiewającą muzyką, żeś Pan malarzem — tak gra tylko człowiek, który widzi... zaciekało mnie tylko, dlaczego Pan tak mnie ostentacyjnie ominął, gdy Pan zbierał pieniądze dla tego grajka?

Gasztowt spojrział zuchwale i wyzywająco na Weryhę i uśmiechnął się złośliwie.

— Zaraz Panu powiem. Chciałem sobie Pana zarezerwować — Pan miał sztukę złota w ręku...

— Miałem i chciałem ją do kapelusza wrzucić — potwierdził Weryho poważnie.

— Otóż, widzi Pan — Gasztowt trząsał się w nadmiernym podnieceniu — gdyby Pan ją był wrzucił do kapelusza, musiałbym i to złoto wysypać przed grajkiem, by nie popsuć efektu marnej, nędznej komedji, jaką przed chwilą odegrałem. Odwróciłem się zatem ostentacyjnie, bom wiedział, że tem podniecę ciekawość Pana i prędzej, czy później Pan się do mnie zbliży i zapłaci za mnie, com tu zjadł i wypił — a z niesfornej mej gadaniny wywnioskuje Pan, że nie mało musiał wypić.

— Doskonale się składa — mówił Weryho z wyszukaną grzecznością — szczęśliwy traf, że tu Pana znalazł — nie podszedłem przytem do Pana z ciekawości, ale z gorącym pragnieniem, by zakupić jeden obraz Pański, który mnie całkiem opętał — ten z tym uciekającym zbrodniarzem... Pan już wie?

Weryho mówił to z taką szczerością, że Gasztowt się zmieszał, a równocześnie dziwnie go pętał i zniewalał ten miękki i ujmujący głos.

— Drzę z lęku — mówił Weryho — by mnie ktoś nie uprzedził: ja bezwarunkowo kupuję ten obraz i daję na razie małą zaliczkę, bo obraz kupuję za jakaśkolwiekby cenie —

położył przed Gasztowtem parę sztuk złota — Pan jest teraz bardzo podniecony i rozdrażniony, Pan najprostszy interes gotów jest uważać za obrazę, a Pan nie wie, z jakim przerażeniem myślałem o tem, że ten obraz mógł być już sprzedany.

Gasztowt zaśmiał się nieswojo, i schował automatycznie prawie pieniądze do kieszeni.

Niech się już wszelki srom i wstyd mój dopełni! — pomyślał, i to mu ulgę sprawiło.

— Jedną gorącą prośbę mam do Pana, byś Pan zechciał być dziś moim gościem: tyle mam z Panem do mówienia, tylko nie tu, wyjdźmy stąd — powietrze tu takie gęste, żeby je nożem krajać można... Zaprowadzę Pana gdzieindziej. — Weryho uśmiechnął się tajemniczo. — Pan przyszedł tu na studia, chciałby Pan podpatrzeć dzieci szatana na gorącym uczynku, a potem z tego materiału tworzyć niesłychane arcydzieła — ale tu Pan nic nie znajdzie, stąd usunęła się śmietanka tych „diaboliques“, których Pan szuka — tu się już rozgościła opasła burżuazja, ciekawa jakichś niezwykłych wrażeń... Chodź Pan!

— Istotnie nieznośne tu powietrze — potwierdził machinalnie Gasztowt i pomacał się po kieszonce: z głębokim oddechem uradowania poczuł pierścionek.

Zapłacili i wyszli niepostrzeżenie tylnymi drzwiami na ulicę.

Tu sobie jednakowoż przypomniał Gasztowt, że owego kawiarnianego wirtuozę okradł był o sztukę złota, więc raz jeszcze nawrócił.

Zastał go przy stoliku, jak przeliczał pieniądze.

Zimny, spokojny, jakby siedział za obcym kantorem swego szefa.

Gasztowt trącił go.

Tamten spojrzał na niego zimnym, obojętnym wzrokiem, zdawał się go wcale nie poznawać.

Teraz Gasztowt cofnął się zdumiony: poznał nagle w grajku wczorajszego dorożkarza.

— Czego Pan chce? — mruknął tamten.

Gasztowt przecierał czoło.

— A! a! Pan pewno chce płacić za drożkę? — machnął ręką. — Bagatela!

Gasztowt zadrżał: ta twarz się nie śmiała: przeciwnie — była bardzo zimna, ale nigdy przedtem nie widział, by jakaś twarz takim szyderczym, szatańskim śmiechem rozłunąć się mogła — widział dokładnie, jak drgała skurczem dławionego śmiechu: żółta skóra, w którą policzki jakby były upięte w ciasną rękawiczkę, marszczyła się złym, nienawistnym chichotem, a z oczu, które wyglądały, jak dwie szybki z niebieskiej, polerowanej stali, biła luna jadowitego szyderstwa.

— A może Pan potrzebuje pieniędzy? Pan taki wylękniony, wystraszony — a przecież

Pan taki sam nędzarz, jak ja... Tylko Pan ma dostojny gest, bawi się Pan w dobroczyńcę, a ja się muszę liczyć — ale to nic! Bierz Pan, ile Pan chce, podzielimy się... — głos jego świszczał i charczał, jakby się bezustannie śmiechem dławił.

— Czego się Pan śmieje? — Gasztowt był wściekły i zrozpaczony.

— Ja? Ja się śmieję? — odparł tamten obojętnie i wpił swe oczy w Gasztowta. — Ja się nigdy nie śmieję — może być, że moja twarz się śmieje, moje oczy, moje mięśnie, może zęby się moje szczerzą, ale ja sam nigdy się nie śmieję.

Teraz ujrzał Gasztowt śmiech, jakby odewany od mięśni, śmiech sam w sobie, wydobywający się z niewidomego źródła: dziki, nienawistny śmiech szydu i pogardy.

Gasztowt rzucił mu bezwiednie sztukę złota, obejrzał się, gdzieby mógł się ukryć, kędy niepostrzeżenie uciec z tej przeklętej knajpy, ale w drzwiach ujrzał Weryhę — Weryhę-wodza, którego rozkazy trzeba było bezwarunkowo spełnić.

— Chodź Pan wreszcie!

Było to tak stanowczo i tak nakazująco powiedziane, że Gasztowt niewolniczo tego nakazu usłuchał — nawet nie myślał mu się przeciwiać...

Na ulicy popatrzył Weryho na zegarek.

Stał się nagle niezwykle uprzejmy:

— Ależ ja tak natrętnie się do Pana przy-
czepiłem, a Pan pewno bardzo znużony.

— Bynajmniej! — Gasztowt powiedział to
opryskliwie — wściekły był na siebie, że mu-
siał niepojętym jakimś cudem ulegać obcej
woli.

— Jest mi to nad wszelki wyraz przyjem-
nem, że Pan zechciał pójść ze mną — jak naj-
goręcej Panu dziękuję. — Pan nie wie, czem
jest towarzystwo Pana dla mnie — zdawało mi
się tylko przez chwilę...

— Nic się Panu nie mogło zdawać —
przerwał Gasztowt gwałtownie — byłem jakiś
czas pijany, inaczejbym nie odegrał tej nędznej
komedji tam w tej knajpie...

— Komedję? — Weryho był wysoce zdu-
miony.

— Ależ oczywiście komedję — prostą, or-
dynarną komedję — byłem pijany, a wtedy,
jak przeważnie pijani ludzie, bywam wcale
nie złym aktorem... ha, ha, ha... zauważył Pan
ten głupi trick: zrzuciłem kapelusz, gdy po-
czął grać, niby to, że mi zawadzał, a właściwie
naśladowałem tylko cyrkowego kłowna: „Pro-
szę uważać! teraz nastąpi coś nadzwyczajnego!“
To było niechlujne — jak można się tak wstrę-
tnie upić!!

— Hm — Weryho mówił delikatnym gło-
sem wytrawnego dyplomaty — Pan jest wielkim

artystą, a jako taki — niesprawiedliwy wobec
siebie — ja całkiem, co innego zauważyłem,
co duszę Pańską daleko głębiej mi odsłoniło.

— O, o!... Teraz jestem istotnie ciekaw —
może Pan jeszcze głębiej wniknął w całą tę
bezecną komedję, którą odegrałem — głębiej,
aniżeli ja ją sam świadomie zakroiłem... Ha, ha,
ha... Pan jest kapitalny znawca dusz ludzkich —
proszę, proszę — bardzo jestem ciekaw...

— Zauważyłem, że ilekroć razy Pan zamó-
wił sobie coś do jedzenia, lub picia, macał się
Pan po kieszonce — wywnioskowałem z tego,
że Pan ma bardzo mało pieniędzy, albo ich też
całkiem niema.

— Nadzwyczaj bystre spostrzeżenie!

— Gdy ten grajek — —

— Dorożkarz! — zawołał nagle Gasztowt
i przystanął.

— To już mnie nic nie obchodzi — mówił
Weryho — czem on jest na dniu — w nocy
grywa w „Rysiu“.

— Pan go przecież zna?!

— Całkiem tak samo jak Pan — ale, wra-
cając do rzeczy: gdy podszedł do Pana, widzia-
łem po zakłopotaniu Pana, że Pan rzeczywiście
nie miał pieniędzy, bo tacy ludzie, jak Pan,
dają w tym wypadku ostatni grosz, choćby się
potem na Bóg wie jakie przykrości narazili...

Gasztowt wyczekiwał teraz z natężeniem,
co tamten dalej powie.

— Pomacał się Pan znowu po kieszonce, ale tym razem targnął Pan za łańcuszek — widocznie całkiem odruchowo...

Gasztowt drgnął, bo istotnie o tem nic nie wiedział.

— A na tym łańcuszku widziałem przyczepiony pierścionek — czy nie tak?

Gasztowt był tak zmieszany, że nie był w stanie odpowiedzieć.

— Drogi Panie — Weryho ujął jego rękę — niech Pan nie myśli, że chcę się wdziierać w Jego tajemnice: nigdy nie badałem, czemu tajemnica musi pozostać tajemnicą, inaczej cały urok jej pryśnie, ale właśnie ten pierścionek zdradził Pana...

Gasztowt zeszywniał:

— Nie rozumiem, że Pan właśnie mnie wziął za cel swoich nadzwyczaj bystrych spostrzeżeń, tem więcej jestem zdumiony, żeś Pan mógł to wszystko obserwować, mimo, że Pan tyłem był do mnie zwrócony...

— To mała sztuka, nauczyć się plecami patrzeć — Weryho rozśmiał się lekko — ulica tej sztuki szybko uczy — ale... aha! prawda: nie wierzę Panu, żeś Pan odegrał w „Rysiu“ śmieszna komedję — przeciwnie: Pan spełnił wielki, heroiczny czyn — wolał Pan swoją duszę do naga obnażyć, anizeli się z tym tajemniczym pierścionkiem rozstać — a, gdy Pana

głód z Jego atelier wypędził, miał ten pierścionek być zastawem — prawda?

— Głupstwo, wierutne głupstwo! Jaki Pan zaślepiony i djabli wiedzą, dlaczego tak mną zachwycony, jeżeli Pan w prostej, marnej finicie, jarmarcznej sztuczce, idjotycznym tricku upatruje jakiś heroiczny czyn — ha, ha, ha! Widziałem po prostu, że Pan mnie obserwuje temi oczyma — ha, ha, ha — jak Pan to powiedział — oczyma, które Pan ma w plecach — kapitalne! i chciałem te oczy Pańskich pleców pierścionkiem zaintrygować — i z faktu, że w braku zegarka przyczepił do łańcuszka prosty pierścionek, by się nie zdradzić, że zegarka nie posiadam, wysnuł pan przedziwne, bohaterskie misterjum — ha, ha, ha! Ależ to kapitalne! to... to...

— Ach! jak ja Panu jestem nieskończenie wdzięczny! — przerwał mu nagle Weryho z niekłamanem uwielbieniem.

— Za co mi Pan wdzięczny? — Gasztowt wrzał wściekłym gniewem.

— Za to, co Pan komedją swoją nazywa! Nigdybym inaczej nie był posłyszał Pańskiej muzyki — nie wstydzę się Panu przyznać, że przed Jego obrazami trząś się, jak przed wielkiem objawieniem, nie pamiętam jednak, by coś mną tak potężnie wstrząsnęło, jak gra Pana...

Gasztowt nic nie odpowiedział — był jeszcze zły na siebie, bo zdawało mu się, że swoją

duszę wydał na łup obcego człowieka, ale mimowoli jęło coś tajać w duszy artysty: mówił w każdym razie z człowiekiem, dla którego jego „Ulica“ była objawieniem...

Tamten jakby słyszał jego myśli:

— To zdumiewające, jak muzyka Pańska dopełniła obrazy Jego. Dzień w dzień przystawałem przed nimi, studjowałem je z zażartą uwagą w najdrobniejszym szczególiku, każdą zmianę barwy zapamiętałem — Panu zawdzięczam chwilę takiego rozkosznego i boleśnego zarazem uniesienia — a, co w tych obrazach męczyło mnie niedopowiedzeniem, toś mi Pan dziś swą grą wyjaśnił...

Gasztówt począł się lękać, że utraci swą zimną, szyderską równowagę wobec tego obcego człowieka — był dumny z tego, że nie zważał na żadną krytykę, nigdy nie zapragnął niczyjej pochwały, że zawsze sam dla siebie był jedyną wyrocznią i probierzem, a tu nagle czuł się, jakby onieśmielony tem, co tamten mówi, z przykrością uczuł, że miło łaskotało go wędzidło, jakie tamten na hardą duszę jego jął nakładać.

Milczeli chwilę.

— Pan słusznie zauważył — mówił Weryho — że ja Pana nie znam; wyczułem w Pańskim głosie nawet pewne podrażnienie na myśl, że ja mógłbym sobie rościć pretensje, iż Pana znam — otóż tak nie jest: Pan jest fanaty-

cznym wielbicielem ulicy, Pan ją kocha, apoteozuje poniekąd — mówię o Pańskiej ulicy — i ja tą ulicę kocham, i ja ją uwielbiam — i to mnie tak nieprzeparcie do Pana ciągnęło. Poznałem kilka postaci z „Dzikiego Rysia“, wywnioskowałem z tego, że Pan tam bywać musiał, albo i bywa, więc co wieczór tam zachodziłem, bo byłem przekonany, że Pana tam spotkam.

Ale dajmy temu teraz spokój. — Pan stanowczo temu zaprzeczał, że Pan jest znużony, otóż rad jestem, że Pana zapoznam z najgłębszem arrièrè fond ulicy. Pan zna ulicę, jak nikt inny. Pan dotarł do pierwszego, może i do drugiego podwórza, ale ulica głębiej jeszcze sięga... Dziś nie umieją ulic budować, to wszystko obliczone na wygodę, na bezpieczeństwo — domy dzisiejsze to żelazne szafy, otoczone kordonem policjantów, niema kąta, do któregooby oko Hermandady wniknąć nie zdołało, niema skrytki, którejby jaki taki partacz z gildy detektywów nie odnalazł — skrzył w ciemny zaułek — tu coś innego — tu każdy dom jest jednym mistrzowsko zbudowanym labiryntem, jeśli tu ktoś obcy i nieupoważniony wejdzie, to już z takiego domu nie wyjdzie — choćby go nawet z ziemią zrównano: niefortunny intruz pod ziemię przepadł. Tu się nie odważy zastukać żaden policjant: przez waziatki korytarzyki trudno się przepchać je-

dnej osobie, a więc gremialnych obław robić nie można — przytem niewiadomo, czy za lada krokiem posadzka się nie rozstąpi — ha, ha, ha! śmiał się cicho dzikiem szyderstwem — są tu takie pułapki, o jakich żadnemu Sherlockowi się nie śniło, nawet temu, którego się w amerykańskich kinematografach widuje.

Nawet ja, niestrudzony badacz tego niezrównania mistrzowskiego kunsztu budowania, nie zdołałem od nikogo z tych, z którymi już od lat kilku przestaję, tej tajemnicy wydobyć... Taki dom był istotnym azylem dla ludzi, którzy aż nadto byli zmuszeni światła dziennego unikać — był ich niedostępną fortecą, w której kosztowali rozkoszy bezpieczeństwa — dom taki był sam przez się magna charta wszelkich przywilejów, wolności, a nawet pewnego rodzaju możnowładztwa — zład szedł postrach i teraz — tu tworzyły się spiski, wywracające trony, tu kiełkowały myśli, rozsadzające podwaliny państw — dom taki, to Kolebka Rewolucyi! Rozumie Pan? Weryho mówił podnieconym głosem.

— Rozumiem, odpowiedział Gasztowt i z głęboką czcią spoglądał na te wysokie, czarne warownie o małych, wąziutkich oknach, które wyglądały raczej jak otwory, w których właściwie winne były znajdować się paszczę armatek.

— Zresztą nie siłę się tak dalece — Weryho mówił swobodnie i z lekkim akcentem melancholii — odgadywać tajemnice tych zdumiewających ulic — to to samo, co z Pańskim pierścionkiem. Cóżbym miał z tego, gdyby urok tajemnicy, jaką Pan siebie i swój pierścionek osłania, nagle prysnął? Poczuliśmy niesmak i nic więcej. Pan tłumaczył tę tajemnicę szalbierskim „trickiem“, a tem tłumaczeniem wyświadczył mi Pan wielką przystupę: zaślona tajemnicy stała się dla mnie gęstsza, aniżeli przedtem — i tem mi droższa.

— Dajżeż mi Pan już raz wreszcie spokój z tym pierścionkiem, przerwał Gasztowt niecierpliwie.

— Ależ, drogi Panie, tu całkiem o co innego chodzi — bo — rozumie Pan, Pan właśnie powinien to rozumieć, że dlatego mam cześć dla ulicy, bo w niej jest mi wszystko tajemnicą — każdy człowiek, każdy ką, każdy rynsztok i zaułek, każda burda, która, Bóg wie czem się rozpoczyna i nie wiadomo, czem się skończy, każda z tych codziennych tragedji, której korzenie nie wiadomo w czem tkwią — ten cały świat zjawisk jest dla mnie niestychanie tajemniczy, bo naokoło każdego z nich mogę w mych myślach snuć przebogatą przędzę wniosków, przypuszczeń, wszelakich możliwości... Ale pan, widzę, ciężko znudzony — troszkę pobłądziliśmy, ale niezadługo doj-

dziemy do celu — a może nużę drogiego Pana moja paplaniną?

— Bynajmniej!

— Tak! już wiem, to ulubione słowo Pana — całkiem na przekór sobie samemu... Ale zdążamy do wspólnego celu.

Gasztowt ocknął się — te ostatnie słowa zdawał się Weryho z pewnym naciskiem przez zęby wyrzucać.

— Bynajmniej! powtórzył — idziemy przecie do wspólnego celu...

— Pragnąłbym rozmową drogę skrócić.

— Bardzo Panu jestem wdzięczny...

Weryho przystanął — wyciągnął etui z papierosami, podał Gasztowtowi. — Gasztowt zawstydził się tonu „gbura“, jaki wobec niesłychanie uprzejmego Weryhy przybierał.

— Niezmiernie mnie to interesuje, co mi Pan mówi — jeżeli byłem kiedykolwiek znudzony, to teraz przeciwnie...

— Cieszy mnie to bardzo — wysilali się i przesadzali w grzecznych słowach — więc, wracając do rzeczy — aha! otóż największą rozkosz sprawia mi — Weryho zdjął kapelusz i tarł czoło — no! jakby to powiedzieć? Otóż proste bawienie się rzeczywistością. Wychytuję jakiś pyłek, rzucam go na wielki ekran, w którym mi do wielkości globu urasta, staje się Panem tego globu, zaludniam go, tworzę człowieka, robię go Panem wszechstworzenia,

i uczę go, jak ma poszczególną kreaturę nazywać.

— A więc Pan staje się Bogiem? zachichotał Gasztowt.

— Zabawiam się w Boga, uśmiechnął się Weryho, bo wszystko się dzieje według mej fantazji i mego widzimisie — cóż mnie to obchodzi, że w rzeczywistości jakiś fakt całkiem inaczej wygląda, kiedy ja jestem w stanie mu dać całkiem inne wymiary, wsadzić go na szyny, które w całkiem innym kierunku idą, aniżeli w tym, który on chciał obrać — widzę po skupionej uwadze Pańskiej, jak głęboko Pan mnie rozumie.

— Istotnie, potwierdził Gasztowt.

— A ja znowu posłyszałem: bynajmniej! lekkie szyderstwo posłyszał Gasztowt w głosie Weryhy — ależ tym razem Pan mnie istotnie zrozumie:

Bo cóż mnie może naprzykład taki fakt obchodzić, jak prosta, ordynarna scena, aż nazbyt codzienna, aż do znudzenia cikliwa scena, którą wczoraj widziałem... Prawda?

— Jaka scena?

— Aha! Jaki ja roztargniony — przecież Pan tego nie widział... otóż szedłem wzdłuż rzeki po tamtej stronie — tej, która odgranicza to nasze miasto, od tej wstrętnej, niechlujnej rastaquouerji tego drugiego, którą ludzie też miastem nazywają...

Skreślił nagle w jeszcze ciaśniejsze zaułki:

— A co? zwrócił się Weryho tryumfująco do Gasztowta — Pan i ja — dwóch fanatyków ulicy — możebyśmy tu kiedy porobili na własną rękę nadzwyczajne odkrycia — trzeba tylko znaleźć klucz do tego szyfrowanego pisma. A tu prawie każdy dom jest takim szyfrowanym pismem — wątpię nawet, czyby Edgar Poe do niego klucz znalazł...

Gasztowt zadrżał — przecież to on przed paru godzinami nazwał ulicę szyfrowanym pismem, dla którego trzebaby klucz znaleźć, by je móżdż odczytać... ten człowiek myśli temi samymi słowami, tymi samymi obrazami, co on sam. Zimny pot rosnącego lęku wystąpił mu na czoło.

— Ale Pan mówił o czymś całkiem innym — przerwał niespokojnie.

— A tak! tak — prawda! Aha! otóż prosta, głupia rzecz — na moście, łączącym wprost w haniebny, sprośny, Bogu i Szatanowi urągający sposób nasze miasto — rozumie Pan — naszą ulicę! z niechlujstwem tego tam miasta — wskazał wzgardliwie w stronę przeciwległej dzielnicy — przystanęła jakaś młoda kobieta.

Nic w tem dziwnego: ileż to młodych kobiet przystaje na moście i patrzy na wspionione nurty wezbranej rzeki. Ale ja przeczuwałem, że się coś stanie, że się coś stać

musi — i aby onej niewiasty nie spłoszyć — schowałem się za drzewo bulwaru — Pan wie, że po tamtej stronie ciągnie się bulwar, który mógłby być piękny, gdyby nie te ohydnie strzyżone drzewa... Prawda?

Gasztowt zadrżał i jakby go nagły przestach zdjął, patrzył teraz na Weryhy twarz jak na martwą, skamieniałą maskę.

Weryho zdawał się nie spodziewać żadnego potakiwania.

— I pomyśl Pan — nie zawiodłem się — stało się coś bezecnie trywialnego: niewiasta przerzuciła się przez poręcz i rzuciła się w rzekę... Requiescat in pace! pomyślałem i chciałem odejść — a tu nagle...

Weryho przerwał chwilę, i, jak się Gasztowtowi zdawało, uśmiechnął się szydersko — stało się coś niezrozumiałego. W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, co się stało, bo wskutek tego, że już mroczniało, nie widziałem kulis całego wypadku — ujrzałem tylko głowę ludzką, która w dzikich rzutach podrzuciła się ku miejscu, gdzie raz po raz jeszcze woda topielicę wyrzucała.

To było zdumiewające... widziałem w walce byków w ostatnim akcie Torrera, który stoi wobec byka, a któremu ma zadać śmiertelny cios. Torrero staje się wtedy tylko jednym drapieżnym okiem, wszystko inne jest tylko akcydenssem — otóż i teraz widziałem tylko tę

jedną głowę, skaczącą w dzikich, rozpacznych podrzutach w stronę, gdzie może po raz ostatni topielica się wynurzyła... i ani mi przez myśl nie przeszło, że ta głowa mogłaby przynależyć do jakiegoś człowieka — dopiero, gdym ujrzał czarną masę jakichś kształtów, zrozumiałem, że to była akcja ratunkowa... Ale co Pan tak nagle zbladł?

— Skąd Pan wie, że ja zbladł? zapytał Gasztowt wzburzony.

— To się czuje, kochany Panie, tego widzieć nie potrzeba — ale Pan, jeżeli się nie myślę, całą tą sprawą mocno zainteresowany...

— Istotnie!

— A ja znowu spodziewałem się postyszeć: Bynajmniej! Niepoprawny ze mnie człowiek... aha! to dalsze Pana interesuje...

Otóż mówiłem, że fakt sam mnie nic nie obchodzi, a raczej wtedy tylko mnie obchodzić poczyna, gdy staję się nim opętany, gdy jestem zmuszony dniem i nocą o nim myśleć, gdy tak opanuje cały mój mózg, że wszystko, co myślę, co prześnię, co widzę, co wogóle przeżyłem, naokoło tego faktu się wiąże, z nim się nierozzerwalnie zszypla i wtedy przeżywam to wszystko, raczej zdaję się przeżywać ten stan, który twórczym nazywamy. Nieprawda?

— Prawda!

— Otóż ten banalny fakt topienia się jakiejś niewiasty przybrał właśnie przez tę głowę,

którą widziałem w dzikich rzutach podskakującą na spienionych falach wezbranej rzeki niesłychanego znaczenia.

Bezustannie widzę tę głowę, bezustannie o niej myślę i szukam człowieka, do którego ta głowa mogłaby przynależyć, a nad czym przedewszystkiem myślę, to nad tem, co ta głowa, przez którą się wściekłe fale rozpedzonej rzeki przelewały, co ona wtedy myślała.

— Prawdopodobnie nic.

— Tak, tak i ja do tego wniosku doszedłem — ale to nie musiało być czemś tak olbrzymim, tak sięgającym od jednego bieguna do drugiego — że to nic wyrasta mi do ogromu tego nic Przedstworzenia.

— A krzyku pan nie słyszał? zapytał nagle Gasztowt.

Weryho patrzył na niego chwilę zdumiony, potem coraz przenikliwiej — aż wreszcie nachylił się do Gasztowta i szepnął tajemniczo:

— Wtedy go nie słyszałem — dziś dopiero postyszałem go: ostry, groźny, straszny w swej majestatycznej, niebem i ziemią wstrząsającej potędze.

— Kiedy, kiedy Pan słyszał ten krzyk? pytał Gasztowt zadławionym głosem, bo czuł, że się zdradził.

— Dziś zakończył Pan swą grę tym przeolbrzymim krzykiem — jestem Panu nieskończenie zań wdzięczny. Krzyk, któryś Pan

z skrzypiec wydobył. dał dopiero temu faktowi topienia się, a który, jak Panu mówiłem, wydał mi się trywialnym, teraz dopiero wielką, głęboką perspektywą grozy, obłędu, zwalenia się z nóg po heroicznych walkach — to tak, jakby cała ulica w przedśmiertelnych konwulsjach się rozwyła... Taki krzyk musiał chyba całe niebo w głębokie bruzdy rozorać...

Patrzyli na siebie z bolesnem prawie wyżeźnieniem.

Gasztowt z trudem opanowywał zabobonny prawie przestach. Ten człowiek zdawał mu się być jego sobowtórem. Nie tylko, że był świadkiem wszystkiego, ale wypowiadał jego najskrytsze myśli, wypowiadał je jego własnymi słowami. Rozglądał się ukradkiem naokoło, by się przekonać, czy nie śni, czy to wszystko jawą.

— I jeszcze za jedno jestem Panu wdzięczny...

Gasztowt niespokojnie spojrział na niego, bo teraz już każde słowo tamtego, lękiem i nową trwogą go przepęłniało.

— No? no? wykrztusił.

— To, zem ani na chwilę nie uwierzył, iż to, co dziś się stało, mogło być komedją, mimo, iż Pan to gwałtownie we mnie wmówić pragnął.

— A to czemu? pytał Gasztowt odruchowo — nie zdawał sobie nawet sprawy, że się o coś pytał.

— Bo przecież tam nie miał Pan potrzeby komedji odgrywać — tam nie było nikogo, ktoby na Pana patrzył... — Weryho pochwycił nagle jego rękę. — Och! jak ja Panu jestem wdzięczny — teraz zamknę się na cały miesiąc i będę myślał nad duszą Pana, która się wstydzi najwspanialszych, najwięcej bohaterskich odruchów i porywów, będę myślał o Panu, jak o jakimś mitycznym Winkelriedzie, który w ramiona zgarnął dziesiątki oszczepów, by go przebiły, czem całym zastępom drogę uTOROWAŁ, a potem się tego czynu wypiera, będę myślał o duszy Pańskiej jako o ucieleśnieniu ewangelicznej lewej ręki, która nie wie, i wiedzieć nie chce, co prawa czyni — wgrzebię się w duszę Pańską i będę szukał przyczyn, które Panu kłamać każą i wypierać się swego dostojęstwa — pochylił się nagle i pocałował Gasztowta w rękę.

Gasztowt podskoczył jak oparzony:

— Czyś Pan oszalał?!

— Ha, ha, ha! śmiał się Weryho — wcale nie oszalałem — chciałem Panu zwrócić tylko uwagę na tę ulicę, którą teraz skręcamy — głos jego stał się nagle zimny i lodowaty: niechby się tu policja dostała, nie mówiąc już o regularnem wojsku... Był Pan kiedy w Sarragosie? Nie? Toż to raj dla Pana — tam całe miasto, to jeden zaułek. — Panie! miasto takich domów, to jakby miecz archanielski: tu dotąd,

ale nie dalej! Gdybym był poetą napisałbym jakiś tragiczny koniec zwycięzcy bajecznego jakiegoś Conquistadora, który znalazł swój kres — o! i my jesteśmy u celu — przystanął przed domem, który wazkim szczytem był wbudowany w dwie przyległe kamienice i zdawał się zapraszać w nieskończony głąb.

Weryho szedł swobodnie, jak na białym dniu, znał widocznie na pamięć każdą wklęsłość kamiennych płyt, każdą dziurę, która się między źle przylegającymi, lub też pokruszonymi płytami utworzyła.

Doszli do jakiegoś miejsca, w którym, jak się Gasztowtowi zdawało, dotychczasowy ciemny pasaż, czy też tunel, na kilka ciasnych ganków rozwił — weszli w jeden z nich — po chwili Weryho przystanął, nacisnął guzik i przed zdumionymi oczyma Gasztowta otworzyła się mała salka, doszczętnie wypełniona jakąś dziwaczną publicznością.

Było to, jakby się dostał na jakąś maszkaradę. Widział panie w białych perukach: twarze miały, jakby woskiem pociągnięte, a zamiast oczu miały usta przepasane czarnymi przepaskami, a gdy raz poraz wtykały poza te przepaski długie, białe, cienkie palce, robiło to piekielnie przykre wrażenie trupich czaszek. Tam znowu w pół nagie kokoty w jakimś zimnym, wyrachowanym bezwstydzie, wylegujące spronie na czerwonych, pluszowych sofach, porostawianych wzdłuż ścian: oczy miały grubo podmalowane czarnym węglem, brwi osmarowane karminem, a usta, obwiedzione zieloną obwódką robiły wrażenie ohydnych, ropiących się ssawek. Tam znowu podkasane podlotki w krótkich spodniczkach, chwiałe się na cienkich nóżkach, z poza przejrzystych chlamid wyzierały zwiędłe placki piersi, policzki były zapadłe i żarzyły się hektyczną czerwienią,

a oczy jarzyły się jakimś piekielnym żarem chuci i rozpusty.

A asystę stanowił rój równie dziwacznych mężczyzn: bezzębni, starzy, z tysemi czaszkami, tylko z tyłu opadał im otłuszczony kołtun na niebieskie, złotem i srebrem szamerowane fraki. Szli jak na sprężynach i wyprawiali przy każdym ruchu jakieś rozbieżne, na wsze strony rozlatujące się skoki, jakie się widzi w kiepskich kinematografach, poruszali ustami i oddychali jak nakręcone woskowe figury w pantoptikum — widział również i młodych ludzi, ale zdawało mu się, że kości w nich zżarte zostały — wyglądali na zasuszone, skórzanne wory, które się poruszały, jak figurki w teatrze marjonetek, a między nimi przewłóczyło się parę chłopaków nierosłych, z zgaśniętymi, zdechłymi oczyma, wypatłakowanymi cienkimi nogami i długimi, obwisłymi ramionami starych Orangutanów.

A wszystko to ujrzał jak w oddali, jakby w jakimś olbrzymim, fosforem zgnilizny dyżącym ślepiu — zadrżał w straszliwym przeobrażeniu — w ślepiu, jednym, jedynym przeobrażeniem ślepiu — stonoga.

Chciał się cofnąć, ale nigdzie nie widział drzwi — równocześnie zauważył, że Weryho gdzieś zniknął — przymknął oczy — macał wzdłuż ścian, a gdy się wreszcie z swego śmiertelnego strachu ocknął, zmiarkował, że

siedzi przy jakimś stoliku wśród garści publiczności, ale nie tej, którą był przed chwilą widział, ale jakiejś obojętnej, zblazowanej, piekielną nudą trawionej.

Rozejrzał się.

Wszyscy siedzieli po parze przy takich samych stolikach jak on — nalewali sobie z butelek jakieś płyny do kieliszków — i on sięgnął do swej butelki, która dziwnym trafem przed nim się znalazła — nalał kieliszek i wypił do dna: jakby się żywy ogień w nim rozlał.

Uczuł przez chwilę straszny ból, jakby mu się czaszka rozsadzić miała, a za chwilę rozeszła się po nim słodka jakaś błogość i wielki spokój.

Czuł tylko wokół siebie jakieś wyczekiwanie, a i on czegoś wyczekiwał, ale już spokojnie bez najmniejszego naprężenia — wiedział, że choćby teraz w tem drugim oku stonoga stokroć razy potworniejsze rzeczy ujrzał, niż te, które przed chwilą w tem jednym widział, niczemby go nie zaniepokoiły, ani z równowagi wytrącić nie zdołały.

Całą uwagę skupił teraz na coś, co w głębi małej salki było zakryte szkarłatną zasłoną.

Obok tej zasłony stał znowu znajomy już mu grajek-dórożkarz, ale wcale nie był zdziwiony, że go tu znowu spotyka — przeciwnie, był rad, że ujrzał znajomą postać — to jedno zaprzysiągł sobie, że już tu żadnej komedji nie odegra, bo przecież odgrywać nie potrzebuje.

Ale ponieważ wszystko mu się snem wydawało, więc się upewnił, że miał w istocie parę sztuk złota w kieszeni — zaliczkę za obraz od Weryhy — gdzie ten Weryho się podział? — i równocześnie wyciągnął stalowy łańcuszek: ujrzał umocowany na nim pierścionek i teraz już całkiem czuł się dobrze.

Grajek-dorożkarz stroił skrzypce — zdawało mu się, że raz poraz zerka ku niemu z uprzejmym uśmiechem — i wskazuje tajemniczo na szkarłatną kurtynę, nachylił się potem do znajomej już Gasztówtowi dziewczyny, która na harfie akompaniowała. Gasztówt widział jak grajek i harfiarka nagle znikli, więc wywnioskował z tego, że przedstawienie niedługo się rozpocznie i rozsiadł się wygodnie w swoim stołku, napił się jeszcze jeden kieliszek, który zdawał się jeszcze potęgować jego spokój.

Nieprzyjemnie go tylko razit jakiś mefityczny zapach zgnilizny, ale to przecież zwykły zapach starych domostw, zapach zaułków i wąziutkich uliczek, więc właściwie powinien się nim lubować. — On zaciekły, fanatyczny wielbiciel ulicy — zawstydził się, że go tu coś razić mogło.

Więc z rozkoszą wdychał w siebie zgnity, trupi zapach — teraz dopiero istotnie odżył.

Wreszcie kurtyna się podniosła.

Prymitywna dekoracja wyobrażała coś, co

miało być wnętrzem jakiej djabelskiej groty — przedziwnie śmieszne i naiwne... w kącie siadł skrzypek-dorożkarz z swoją harfiarką i zabrzdąkali jakąś potwornie głupią przygrywkę.

Po krótkiej chwili ukazała się na scenie młoda kobieta — wchodziła powoli, ociężale, opornie prawie, jakby podlegała obcemu jakemuś nakazowi. Patrzyła przed się szeroko rozwartymi oczyma, o szklannym bezmyślnym wyrazie, a twarz jej była tak drobna, że w pierwszej chwili nie widziało się nic, prócz tych oczu.

Gasztówt zatrzęsł się cały.

To przecież ona! przecierał oczy. Ona! Nie! nie mylił się!

Był tak zdumiony, tak tą zjawą zaskoczony, że całkiem zapomniał, gdzie się znajduje, ogłądał się dookoła, by się upewnić, że to nie żaden sen — ale i ci wszyscy ludzie naokoło mogli być też tylko jednym snem — był zrozpaczony, że w żaden sposób nie mógł rzeczywistości tej zjawy sprawdzić.

Ależ nie! to nie był sen — tak się we śnie rzeczy nie widzi — a to co widział, było rzeczywistym od wszelkiej jawy w białym dniu.

Przez chwilę przebiegło mu przez głowę, że to tylko przypadkowe podobieństwo, że to wprost niepojęte, by ją mógł tu spotkać — raz jeszcze

wyrażenie się jej przypatrzył: twarz jej znowu grać poczęła, jak wczorajszej nocy tą szatańską melodją rozpaczego obłędu i rozpasanego bezwstydu — tak! to ona!

Widocznie poczuła siłę tego wzroku, bo teraz jej twarz zaczęła kurczowo drgać jakimś nieokreślonym uśmiechem, a ociężałe oczy nagle się roziskrzyły, poczęły niespokojnie biegać od jednego stolika do drugiego i utknęły nagle w jego oczach.

Sprzęgnięcie ich oczu stało się czemś nierozzerwalnem: hypnotyzowali się wzajemnie oczyma i już zdawało mu się, że równocześnie ku sobie podejda, podejść muszą, gdy nagle wpadł na scenę jakiś mężczyzna, nawpół brutalny zbrodniarz, wpół ordynarną chucią dyżący samiec, pochwycił ją, szarpnął nią gwałtownie, przerzucił na drugą stronę — znowu nią szarpnął tak silnie, że na ziemię upadła, przewlókł ją chwilę leżącą po scenie, a potem jednym zamachem podrzucił w górę — teraz ją zniewolił: wystraszonymi, a równocześnie jakby w miłosnym zachwycie, mdlejącymi oczyma, patrzyła w wykrzywioną złym uśmiechem małpią mordę opryszka.

Głośniej i szybciej wygrywał grajek na skrzypcach jakiś dziki, opętany taniec i coraz szybciej biegały cienkie, długie palce harfiarki po rozstrojonych strunach harfy.

I rozpoczął się taniec namiętny, sprośny,

całkiem nieprawdopodobny w swem żywiołowym rozpetaniu — bezpamiętnem rozpasaniu zmysłów.

Kobieta ta, którą przed chwilą widział jakby senną i ociężałą, stanęła jak w ogniu: sypkie, czarne włosy rozwiały się zwichrzoną falą na wszystkie strony, z gardła jej wyrwały się krótkie, świszczące krzyki, ramiona splecione w górze, to znowu rozkrzyżowane w obie strony, ziemi sięgające, to znowu w nagłych podrzutach wylatujące w górę, wydały się węzami w lubieżnych zgięciach, w chciwych skokach, pełzającym podstępnie i żądnych, łaszących się czołganiach — nogi przesuwaly się z taką szybkością, że ledwie ich ruchy pochwycić było można, tylko raz poraz podrzucały się w górę z pod sukni, jakby się z ciała wyrwać chciały.

Koszula opadła jej z ramion — Gasztowt ujrzał nagie piersi, postyszał rozpustne okrzyki: coraz szybciej wirowały ramiona, coraz lubieżniej i namiętniej podrzucały się nogi — kobieta przeistoczyła się teraz w rozpasaną, potworną menadę.

A zręczny tancerz zabiegał z jednej i drugiej strony, chwycił, okręcał jak wartołką, znowu puszczał i znowu chwycił, podrzucał na siebie, przerzucał z ramiona na ramię z taką wprawą i lekkością, jakby się czemś bezcielesnym bawił.

A ilekroć zwróciła się twarzą do sceny, czuł Gasztowt jej palący wzrok, jak go chłonać

Taniec zwirzęcego
bezwstydu

się zdawał i duszę mu trawiącym kwasem przeżerał.

Teraz taniec nabrał jakiegoś bacchicznego wyuzdania. Rozpętał się na krawędzi brutalnego, rozjuszonego żywiołu.

To już bezwstyd dwojga sprzęgających się zwierząt, cyniczne niechlujstwo rajskiego wesela w najwstrętniejszym bordelu!

Gasztowt z odrazą pochylił głowę.

Nie chciał patrzeć na to, co mu dostojęństwo ulicy brukało. Z rozkoszą byłby patrzył na taniec najdzikszej grozy, taniec nad przepaścią między życiem, a śmiercią — opętany taniec na pobojowisku życia, obłąkany taniec głodu i moru, hulaszczy taniec szamocących się rozpacznych wyśilków, taniec nienawiści i pomsty w przedśmiertnych podrygach — ale na ten niechlujny taniec zwierzęcego bezwstydu, w którym się ulica przed oczyma z głodu najordynarniejszych wrażeń zdychających bogaczy za pieniądze prostytuowała, dłużej patrzeć nie mógł: cuchnął najwstrętniejszą kałużą...

I na to ją od śmierci ratował, by ją w tą kałużę wepchnąć! Wywłókt ją z objęć śmierci, by ją rzucić w plugawy rynsztok życia?! — zatrząsał się cały: miał wrażenie, że popełnił haniebną, plugawą zbrodnię, której niczem nie będzie w stanie okupić...

A może to tylko majak szatański — może to chore przywidzenie gorączkującego móz-

gu? Podniósł z wolna głowę i ukradkiem, jakby się lękał, że z jej oczyma się spotka, spojrzął na estradę.

Widział tylko parę nagich nóg w powietrzu, z których suknia obleciała — teraz ją tancerz schwycił za ramiona, którymi się ziemi opierała, podrzucił ją całą w górę, zakręcił nią kilka młyńców w powietrzu, a potem jak kupę gałganów cisnął w ką.

I tam z tego kąta chwyciła go oczyma.

I jakby się w nich cała otchłań nienawiści była rozтворzyła: oczy te krzyczały dzikiem szyderstwem, miały przekleństwa, a każdy z tych bezgłośnych krzyków smagał jego duszę do czerwieni rozpalonymi prętami.

— Patrz! patrz, przekłety zbrodniarzu, do jakiego życia mnie docuciłeś — patrz! na jaką męczarnię mnie skazałeś! Patrz, w jakiej kałuży tarzać się muszę, boś mnie zgwałcił do życia — ty wściekły, zbrodniczy dobroczyńco!

Cała jej twarz była skurczona konwulsyjnym śmiechem, a wyszczerzony rząd ostrych zębów zdawał się wcinąć w skórę jego ciała, wgryzać się w żyły, wszczepiać w nie śmiertelny jad — a usta, te rozpasane bezwstydne usta hetery — chlipać krew jego.

W głowie poczęło mu się mroczyć — jak przez mgłę słyszał dziki ryk oszalałej wprost z zachwytu publiczności — głucho zrobiło się

wokół niego — w oczach przeraźliwa noc i pustka.

Stonoga-nędza wywlokła się z wolna na świat cały — stonoga? — nie! myriadami nóg wszczępiła się w jego posady, rozłożyła się na nim olbrzymiem cielskiem i wzięła go pod swoje panowanie.

Zatrząśł się, zimne dreszcze go zbiegły — ocknął się i spojrział błędniemi oczyma przed siebie:

Naprzeciw niego siedziała przy stoliku obok jakiegoś mężczyzny, z którego twarzy zdał się buchać żar pożądania i niechlujnej chuci — ona!

Tak! teraz już wszystkie wątpliwości przysły: to była rzeczywiście ona!

Łasiła się do swego gacha, który ją coraz namiętniej obejmował i chciwemi rękoma około jej piersi błędził, głaskała go po twarzy, a równocześnie patrzyła wyzywającym, bezwstydnym wzrokiem na Gasztowta.

I jakby pragnęła mu dokładnie uwidocznić to wielkie dobrodziejstwo, jakie jej wyświadczył, okazać mu się wdzięczną, objęła tamtego gorąco za szyję, siadła mu na kolana, pohańtała się na nim lubieżnie, i aby Gasztowta przekonać, że już całkiem odnalazła drogę do życia, wychyliła duszkiem szklanekę szampana.

A ani na chwilę nie odrywała palących oczu od pokornych oczu Gasztowta, które zdały się o przebaczenie błagać.

Teraz oczy jej głębiej jeszcze i boleśniej wświdrowały się w głąb jego duszy, by męka jego dotkliwszą się stała, napełniła szklanekę szampanem i chlusnęła mu całą jej zawartość w oczy:

— Chrzczę Cię wodą nowego życia, do którego mnie powołał — śmiała się na cały głos, a przez cielsko potwornego stonoga, którego nie widział, ale czuł go wszechobecnym, przeleciała fala dobrotliwego i głęboko zadowolonego śmiechu.

Gasztowt obtarł twarz i przyjął pokornie zniewagę, bo chciał choć w cząsteczce okupić swą ciężką winę.

Rozgniewała ją jego pokora: coraz dziksze płomienie nienawiści buchały z jej oczu, rozpięła swemu gachowi surdut, przeszukiwała kieszonki od kamizelki, wyciągnęła sztukę złota i rzuciła pogardliwie na stolik Gasztowta:

— Masz tu za Twoją fatygę! zasyczała jałowicie.

Gasztowt się pokłonił, wziął złoty pieniądz, bo wiedział, że i tą najcięższą zniewagę, ten największy wstyd i srom ponieść musi, by uszczuplić chociaż odrobinę ogrom swej zbrodni.

A stonoga-nędza prychnęła zadowolona, albowiem największą cnotą nędzarzy jest — pokora.

A ona zbladła z zapalczego gniewu, ode-

pchnęła od siebie tego, do którego się przed chwilą tak bezwstydnie łaśiła, z taką siłą, że o mało co z stołka się nie wyrócił — siadła przy stoliku Gasztowta, oburącz podparła małą głowę, w której złymi płomieniami jarzyły się ogromne oczy i patrzyła w niego, jakby mu duszę na strzępy potargać chciała.

— Szukałeś mnie? pytała zjadliwie.

— Szukałem! odpowiedział pokornie.

— Zbrodniarzu! syknęła.

— Wiem o tem i kajam się w pokutniczym prochu, bo niczem ogromu mej zbrodni odkupić nie potrafię.

Głowa opadła mu głęboko na piersi.

— Ale po co o tem mówić? gorszy ciężar zalega mi duszę.

— Jaki? Tak chciwie wpiła swoje oczy w niego, że mimowoli podniósł ciężką, ołowianą głowę.

— Pytasz się jaki? poruszył się nagle niespokojny i nachylił się ku niej — zaraz Ci powiem — zaraz... obtarł obfity pot z czoła i mówił szybko i bezładnie:

— Ja istotnie Cię szukałem — szukałem, bo musiałem Twój głos namalować — musiałem Cię znaleźć, by Twój głos posłyszeć! Namalowałem obraz, jakiego żaden człowiek nie zdołałby, nie odważyłby się namalować — to znaczy, nie namalowałem go, ale chciałem go namalować i muszę — muszę go namalować —

alem Twojego głosu nie słyszał — gdybym był wczoraj Twój głos posłyszał, jużbym był dziś dotarł do najskrytszych tajemników duszy ULICY, odgadłbym wielką tajemnicę jej serca: każdy kamień wtedy przemówi, każdy mur ożyje, ruszy się z posad ta mroczna ulica, którąś błędziła, wyżej jeszcze wypałakuje się most, z którego się rzuciłaś — barwy i kształty staną się mową i groźną opowieścią o bezgranicznej nędzy duszy ludzkiej, o jej rozpaczem taczaniu się w ciemnych, cuchnących krużgankach Bytu — nie! nie! nie o głos mi chodzi — ja tylko muszę raz jeszcze Twój krzyk posłyszeć — ten wczorajszy mi zblakł — wypłowił — za mało mi krwią ocieka, za mało się jeszcze rozranił — Twój krzyk muszę posłyszeć — zerwał się nagle — ten krzyk wyrrywający się z plugawej kałuży życia, od samego dna Twego bezwstydu! — stał przed nią groźny, potężny:

— Krzycz! wrzasnął.

Chwilę patrzyła na niego wystraszona, a nagle wybuchnęła głośnym, chrapliwym śmiechem:

— Ha, ha, ha! Co za śmieszny komedjant! Ha, ha — czem on się to przedemną popisuje! Ha, ha, ha! obróciła się — słyszeliście tą głupią tyradę? Chodźcie tu bliżej!

Gasztowt skamieniał — zachwiał się potem,

jakby mu ktoś nogi podciął, i usiadł ciężko na stołku.

— No, dalej! dalej! drwiła szyderczo.

Gasztowt patrzył na nią chwilę, a nagle skrzywił się jadowitym śmiechem:

— Psiakrew! Nie udało mi się! Myślałem, że Cię moją głupią komedią na lep wezmę — ale Tyś na cztery nogi kuta — z Tobą nie tak łatwo — więc trzeba z innej beczki zacząć i do całej prawdy się przyznać...

Patrzył na nią szyderczo, ale ona nagle spoważniała i wpatrzyła się w jakąś głęboką dal.

— Nie wiem, skąd mi się przypłatało to z Pani głosem — Gasztowt starał się być uprzejmym i podkreślał to: „Pani“.

— Przecież to całkiem śmieszne i — he, he! chemicznie wyprane z wszelkiego sensu... wprawdzie byłoby to istotnie nęcącym dla artysty namalować czyjs śmiech i rozpromienić nim najwięcej ponury krajobraz, albo przeistoczyć najpogodniejszy na upiorne podziemie Hadesu — zależy to od charakteru śmiechu — i również ciekawemby było namalować głos ludzki i jego „timbre“ zabarwić odpowiednio i mury i mosty i rzeki — ale zaręczam Pani, że o tem wszystkim mi się nawet nie śniło — może być, że chwilę się bezwiednie okłamywałem, ale teraz widzę, że jedyną przyczyną, dla której Pani szukałem, to prosta ordynarna ciekawość, co się też z Panią dzieje.

Uśmiechnęła się dyskretnie.

— Dziś rano miał Pan rozmowę z sobowtórem swoim, który chciał mnie również przeproszać, kłamał niestworzone rzeczy, aż wreszcie mu odpowiedziałam, że Pan najchętniej chciałby zrobić z niedoszłej topielicy — swoją kochankę...

Spojrzała na niego — a Gasztowt wlepił w nią nieprzytomny z lęku swoje oczy.

— To Pani słyszała rozmowę moich myśli?

— Ależ oczywiście — Pan się gorąco wypierał — ale jestem przekonana, że tak w istocie było...

Gasztowt opanował się i mówił coraz zaciekłej:

— Tak! tak! Pani przejrzała do samego dna moją marną, podłą duszę. W istocie miałem tą myśl, gdym Panią ratował, a, gdy Pani się zręcznie z mych sideł wymknęła — nie pozostało mi nic innego, jak tylko okłamywać się głodem najwyższych aspiracji artystycznych, żądzą przeżywania niebywałych sensacji — to wszystko głupstwo i bezczelne kłamstwo — ja cierpiałem na głód najgłupszej, ordynarnej ciekawości, co się też z Tobą dzieje... wstydzę się teraz tego i — zaśmiał się cynicznie — nawet potrochu tą całą głupią aferą się bawię... i jeżeli ktoś, to właśnie ja zasłużyłem na to, zem niepotrzebnie palce między drzwi wetknął, zasłużyłem w całej pełni na ów chrzest szampa-

nem i na oną sztukę złota — a przyda się, bom z głodu już chciał mój proroczy pierścionek zastawić — i na co to ja jeszcze zasłużyłem?

— Jaki Pan biedny! Jak strasznie biedny! rzekła to jakby przerażona i tajemnym lękiem zdjeta.

Gasztowt skurczył się boleśnie, jak pod obuchem wściekłej pięści...

— A! toś się szatańsko pomściła! To był piekielnie bolesny policzek!

Nagle zerwał się w strasznym tryumfie bólu, który nim, jak wiechciem okręcił i wściekłe słowa zaciekłego szyderstwa z gardła wyrwał:

— Och! jak Ci jestem wdzięczny! Odnalazłem Cię ULICO! Och, jak Ci jestem Ty nędzna ladacznico! wdzięczny, że posłyszałem dumny, królewski głos ulicy, ujrzałem wspinały giest mocarnego dostojęństwa ulicy — że rozwarła się przedemną otchłań tak przeolbrzymio bogatej nędzy, że stać ją na to, by się i nad moją litować...

Rozkrzycz, rozwij to na cały świat takim strasznym krzykiem, że ziemia i niebo się od niego zapalą, że międzyplanetarnym, płomiennym wichrem światy z ich torów wytrąci — a wtedy Bogiem się stanę!

Chciał jeszcze coś z siebie wyrzucić, ale ujrzał nagle, że wszystko naokoło niego zniknęło, jakby jakaś czarna kurtyna była nagle przed jego oczyma spadła, że jest sam...

Gdzież on teraz był?
Czyżby znowu w swoim atelier?

Ależ nie! Gdzieś w sali jakiegoś upiornego domu — słyszał szurgot odsuwanych stołków, lękliwy i ostrożny szelest kroków ludzi, którzy w głuchem przerażeniu zdawali się przed czemś uciekać — dochodziły go jakieś lękliwe, wystraszone szepty — chwilami rozjarzyło się wokół niego, jakby od tysiąca w śmiertelnym lęku rozwartych oczu jakoweś zgniłe światło biło, słyszał, że sam szczękocze zębami od niepojętego strachu — lękał się z miejsca ruszyć, by go jakaś zmora podstępnie z tyłu nie pochwyliła, wkuilił się w jakiś kąt i jął patrzeć w tak strasliwym zdumieniu, że w niem kamienieć się zdawał.

Rozwidniło się nagle odbłaskiem dalekiego, zielonego światła.

Deski podłogi poczęły się poruszać, podnosić w górę, a z szpary między dwoma deskami jął się wywłóczyć potworny stonóg, poczwarny, obrzydliwy, tak wstrząsająco ohydny, że krew mu się lodem ścięła z wstrętu i obrzydzenia.

Widział, jak ohydny robak począł obłazić setkami nóg całą pustą już salę — widział go, jak znikał w innych szparach, znowu wypływał, wczolgiwał się na ściany, szukał kryjówek w szczelinach popękanego muru, znowu wyłaził, wędrował niestrudzony po popękanym suficie i znowu się chował, a Gasztowt wiedział już teraz, że znowu się pokaże, że gdziekolwiek się ruszy, wszędzie go ujrzy, że jest on wszechobecny i wszechwidzący, a gdziekolwiek by się skryć chciał, stonóg wszędzie go odnajdzie.

Dygotał cały i trzął się: ujrzał wielkie objawienie, które tak gorąco mieć pragnął: potężnego Boga i wszechwładzę ulicy, jej nędzy, głodu, niechlujstwa, bezwstydu, zbrodni — ujrzał straszliwy symbol onej wielkiej potworności życia: zimną, obojętną, stunożną Nędzę!

Czuł, jak najdokładniej każdy włos na głowie, jak mu się z przestachu jeży i niewypowiedziany ból sprawia.

Byleby tylko się ztąd wydostać!

Macał rękoma naokoło — i odetchnął: pod naporem jego rąk otworzyła się ściana, wcisnął się w wąziutki otwór z tysiściami ostrożności,

wśród których serce mu zamierało i wydostał się na wolność.

Nogi pod nim drżały, serce waliło tak silnie, że mógł dokładnie bicie jego słyszeć — przystanął.

Słyszał wewnątrz przekłętego domu jakieś niespokojne odgłosy — jakby trzeszczenie desek, jakby zawalenie się spróchniałych belek, coś, co mu przypominało uprzątaną rumowiska, rozpaczne szukanie w niem pogrzebanych skarbów: stonóg go szukał — tak! nie mylił się: piekielny stonóg szukał swej ofiary!

Złał go zimny pot przestachu: teraz za chwilę ujrzy jego potworny łeb, stoma nogami oplącze się wokół niego — nie będzie się mógł z miejsca ruszyć — już, już mur z tynku oblatywał, już słyszał dokładnie, jak się stonóg-potwór przez ścianę przebija — chwila jeszcze!

I jakby go obca siła poderwała, rzucił się do ucieczki.

Nogi plątały się pod nim, wyciągnął przed się ramiona, by się nie potknąć o jakiś mur, który nagle przed nim wyrośnie i go do powrotu zmusi — potykał się co chwila w grubej ciemności, raz po raz padał, znowu się zrywał i biegł bez wytchnienia, ale nie wiedział dobrze, czy oblatuje dookoła te same ulice, czy też wprost przed się leci i to go przejmowało coraz to straszniejszym lękiem. Przypominał sobie, jak kiedyś pobłądził w lesie i bezustan-

nie krążył naokoło leśniczówki, do której zdążył, a która zaledwie o parę set kroków była oddaloną.

Odetchnął wreszcie: dostał się na jakiś obszerny plac, dziwnie rozwidniony niebieskawym światłem: mogło to być rychłe zaranie, albo już późny zmrok — z tego sprawy sobie zdać nie mógł. Stał na samym jego środku: wybiegało z niego mnóstwo alei na wszystkie strony i to go najwięcej przerażało, że nie wiedział, w którą stronę się zwrócić, bo stracił do szczętnie poczucie kierunku: nie wiedział, którą drogą wróci z powrotem, a którą się oddali. Przytem to niebieskawe mroczne światło wydało mu się podejrzanem: przypominało światełko, skradające się przez szczelinę otwartych drzewczek latarni detektywa.

Ale nie miał dużo czasu do namysłu, bo teraz dokładnie widział, że to nie był żaden plac śródmieścia, nie! gdzież tam! był przecież na polanie wśród jakiegoś głębokiego lasu — wokół sterczał ciemny mur niebotycznych drzew, a ta ilość na wsze strony promieniejących alei widocznie mu się przywidziało, bo — w zgęszczającym się zmroku nie widział żadnej drogi.

Coraz większe przerażenie go ogarniało: słyszał w tym zaczarowanym lesie jakieś głucho pomruki, daleki trzask gałęzi — odgłos szeleszczących, czołgających się kroków: to pewno stonóg!

Rzucił się jak dziki, osaczony zwierz na oślep w bok.

Ale dziwne: nie natrafił na żadne drzewo, na żadną przeszkodę, wydało mu się jeno, jakby się przedzierał przez grubą mgłę, którą wyciągniętymi ramionami rozszarpywał, a teraz dziwne, że ta mgła stała się jakąś elastyczną płachtą, na której wpół się położył i bez wielkiego wysiłku z niezmierną szybkością naprzód płynął — płynął? — tak! inaczejby tego nazwać nie mógł — ale trwało to niedługo, bo tuż uczył twardy grunt pod nogami i czuł, że już nie biegnie, że przeciwnie z trudem wlecze się przed się, jakby centnary ołowiu u nóg dźwigał.

Uczuł jakiś straszny ból, którego jednakoż nie mógłby ani cielesnym, ani dusznym nazwać: to było coś innego, całkiem coś innego, czego nigdy jeszcze nie doznał: ból łamanych gałęzi, oranej ziemi, rozłukiwanej skały, oberwanej gwiazdy — wiedział, że zanosi się od ciężkiego płaczu, a nie mógł sobie oprzytomnić, że płacze: stracił zgoła poczucie samego siebie.

Jedno tylko uczucie trzymało na uwiezi na wszystkie strony rozlatujące się jego Ja: przerażony lęk, że się coś niestychanego w nim dokonuje.

I znowu zaległa w nim czarna głucha noc. A w tej nocy — kiedyż to już było, wczoro-

raj? przed rokiem? wiekiem całym? słyszał znowu nadpływ huczących bałwanów — bliżej, coraz bliżej — a teraz już widział, jak się coraz wyżej piętrzyły, w niebo rosły, jak olbrzymi zwał wód ku niemu biegnie, podskakuje w gwałtownych podrzutach, teraz olbrzymią chmurą zwali się na niego: teraz postłyszysz ten straszny krzyk, który mu noc na świetliste strzepy rozedrze — rozwidni czeluść niepojętych tajemnic — ten krzyk: ogromną błyskawicę, która powietrze rozpruje, niebo w głębokie bruzdy rozorze i na nim wznieci pożar rozwścieczonych barw, jakimi się trujące gazy palą, jakimi siarka i fosfor i mangan z rozsypujących się kraterów wulkanicznych na czarnym spektrum nieba oślepiające pasy żłobią — och ten krzyk opętanych barw — raz jeszcze go postłyszcie!

I zdjęło go nagłe, dzikie, krwiożercze pragnienie, by raz, by raz jeszcze jedyny ten przeolbrzymi krzyk mu w uszach się rozgrzmiał, dotarł do tajemniczego węzła wszystkich zmysłów i nimi wszystkimi razem cały świat ogarnął — nie! nie cały świat — cóż go świat obchodził? — on tym światowidem, w którym wszystkie zmysły wzajem się przenikają i w jeden się stopiły! — On pragnął jednym wszechzmysłem objąć ulicę!

Jednym zmysłem, w którym się tysiące złało, pragnął ujrzyć ulicę!

Niechby wtedy Harpije zanieczyszczały jego posiłek, a spożywałby go z rozkoszą najwzbredniejszego smakosza —

niechby wino jego było zaprawione piótowną gorzkością, onby je pił w zachwycie, jak gdyby się boską ambrawą poił —

niechby wtedy ostre kamienie stały się mu poduszką, a on spocznie na nich, jak na królewskim łożu, wysłanem ededronowem pierzem —

a drzwi trędotawych staną się złotą, na oścież rozwartą bramą, przez którą wkroczy do najtajniejszych przybytków sztuki!

Odwróci się wtedy przekleństwo matki i stanie się świętą łaską najwięcej boskiego błogosławieństwa!

Byle tylko ten krzyk postłyszcie! — mamrotał znużony i senny przed się.

Wiedział, że się to nie spełni — że cisza ogłuchła i żadnego krzyku z siebie nie wyda.

I do przekleństwa matki, dodał od siebie:

I głuchym będziesz, choć będziesz słyszał — i ślepy, choćbyś nawet niedostrzegalne ździebełko ujrzał — i niemym, choć język Twój rozwiązany — większego przekleństwa dla twórcy wymyślić nie mógł — a szkoda!

Możeby się własnego przekleństwa więcej uląkł, aniżeli matczynego, możeby ono na niego podziałało, jak owo wstrząśnienie przerażenia, które mowę powraca, głuche uszy słyszącymi, a ślepych widzącymi czyni...

Niemoc! Za słaby był, by przeklinać — a na to trzeba wielkiej mocy i wiary i siły spełnienia!

Rozejrzał się.

Nie był wcale zdumiony tem dziwnem światłem — a raczej metalicznym lśnieniem stalowych płyt: przywykł już do niego — to lśnienie oczu tej topielicy, która mu wczoraj i ulicę i most i rzekę rozwidniała! zdziwiła go tylko ta okoliczność, że... gdzież on był? Istotnie! wcale się nie mylił: siedział na ławeczce na tym samym placyku, co wczoraj — tak samo pustym jak wczoraj, tak samo gęsto zadrzewionym: krzyżowało się na nim to samo mnóstwo ulic i — pamiętał doskonale: tu odmawiał psalm przekleństwa swej matki i tu ztąd szedł śladem cienia, który go nad rzekę zaprowadził.

Jakim cudem się tu dostał?

Zadrzał.

Å... a... tu w pobliżu ta rzeka i ten most piekielny — och! gdyby ten krzyk postłyszeć!

Zerwał się nagle cały drżący i przerażony: przed nim stała jakaś postać!

Cofnął się w dyszącym lęku — serce mu bić przestało.

— Coś się Pan tak przeraził?

Jej głos!

Rozwarł szeroko oczy: teraz dokładnie widział jej oczy i wyciągniętą rękę.

— To ja! Nie poznajesz mnie?

Ujęła go za rękę.

Ochłonął i zdjął go wstręt, jakby się po jego ciele prześlizgnął obrzydliwy płaz. Już chciał szarpnąć rękę, chciał odepchnąć od siebie obmierzłą ladacznicę, która mu zbrukała dostojność ulicy, gdy nagle, gdyby olśniewająca błyskawica rozwidniała mu jedna myśl całe wnętrze jego duszy.

Tam w ukryciu dojrzał już dawno zimny, stanowczy, nieodwołalny zamiar, o którym nic nie wiedział, a który teraz nagle przedzierzgnął się w zwycięski akt płomiennej woli: rozpiętna, wrząca radość wyzwolenia buchnęła żarem poprzez jego żyły.

Teraz wiedział, że raz jeszcze usłyszysz ten krzyk, usłyszeć go musi.

Czuł jak najwyraźniej, że się na paru ludzi rozpada.

Jeden zimny, twardy, nieugięty stał na straży — drugi milczący, ponury, groźny ujął go pod ramię, a ten trzeci automatycznie uradowany, i, jakby na czyjś nakaz, serdeczny i wylany.

— Ach! jakżeżbym Cię nie miał poznać?! Wśród miliona głosów poznałbym Twój głos — gdybym myrjady ócz ujrzał, wiedziałbym niechybnie, które Tobie przynależą... dziwi mnie tylko, jak mnie tu znalazłaś!?

— Powiedziałeś, że jesteś zbrodniarzem...

— Powiedziałem, potwierdził gorąco, i jestem nim...

— Widzisz — zbrodniarze wracają zawsze na miejsce popełnionej zbrodni — tuś ją postanowił, gdyś się wczoraj ślad w ślad za mną skradał, by mnie ratować — wiedziałam więc, gdzie Cię szukać...

— Toś Ty mnie szukała?! rozkazał swemu głosowi, by drżał i wibrował i głos go posłuchał.

— Tak! Szukałam Cię — szukałam, by Ci raz jeszcze powiedzieć, że nie tylko lituję się nad Twoją nędzą, ale kocham ją.

Gasztowt zawrzał głuchym gniewem, ale sąsiad jego poskromił go.

— Kochasz moją nędzę? pytał gorąco — och! jak Ci wdzięczny jestem — i ja Twoją kocham, uwielbiam ją, ubóstwiam!

Zląkł się, czy nie zbyt gorąco przemawia, czy nie na zbyt wysoki diapazon nie nastroił swego głosu, czy przedwcześnie podejrzenia nie obudzi, ale czuł, że ona mu ślepo wierzy.

— Tak! kocham Twoją nędzę i cierpię nad nią. Wiem, żeby Cię mój krzyk wyzwolił, ale zgłuchł mi w piersiach, zaparł się: jużby się wyrwać nie mógł...

Gasztowt zadrżał niespokojnie. Lęk, iż tego krzyku mógłby nie posłyszeć, ubezwładniał go. Ale sąsiad jego czuwał, targnął nim gwałto-

wnie, więc goręcej jeszcze i namiętniej ją przemawiać.

— Nie o krzyk mi chodzi — całkiem nie o krzyk — to tylko chore majaczenia gorączkującego mózgu... Ciebie szukałem, za Tobą tęskniłem — w nędzy mej tkwi tak bezbrzeżna miłość, z którą się żadna inna porównać nie zdoła!

A sąsiad jego szeptał mu do ucha: Mocniej, silniej jeszcze!

— Miłość, miłość kazała mi Cię szukać! Jeżeli czujesz się zbrukana — hyzopem mej miłości oczyścisz się anielską bielą — jeźliś zziębnięta, rozpalisz się gorącym żarem mego serca, które w żyły me ogień wlewa...

Potworne kłamstwo, jak lepkie błoto zapychało mu gardło, głos z trudem się przedzie-
rał — brzydził się swoją podstępna i ordynarna komedią — wszystko w nim jeło się burzyć i gwałtowny bunt podnosić, dusza mu się krwią męki pocila, ale to pragnienie, by raz jeszcze ten krzyk posłyszeć, który sztukę jego miał wznieść na wyżyny boskiego, absolutnego jaśnowidzenia, zdławił w nim wszelki wstręt, wszelkie obrzydzenie, srom i żrący wstyd.

Teraz ją wyrzucać z siebie beładnie najgorętsze słowa miłości, bełkotał, chwycił ją za ręce, ciągnął ku sobie, przemógł zwycięsko fizyczny wstręt, jaki w nim dotyk jej ciała wywoływał, wszystko w sobie zdusił, by tylko jej

krzyk posłyszec — ten krzyk, w którym miała mu się ulica w jej najtajniejszych skrytkach objawić — w tem przeczuwalnem zaledwie ukryciu, w którym jej wielka synteza spoczywała.

Niewolił ją tym gorącym, nieprzewycięzalnym wybuchem swej miłości, ogarnął ją całą dziką, pieniącą się mocą namiętnego szału — coraz więcej się ku niemu słaniała, ramiona jej wahające, a spragnione obejmowały jego szyję — zerwał się, pochwycił ją w pół, podrzucił ją na pierś — otrząsł się w bolesnem, fizycznym obrzydzeniu, ale znowu sąsiad go targnął.

— Teraz Cię mam! zaśmiało się w nim w dzikim, krwiożerczym tryumfie — jednakoż postyszę Twój krzyk!

Zerknął na tego twardego, nieugiętego, który stał na straży: ten skinął głową.

I coraz gorętsze zakłęcia miłosne szeptał jej do ucha, coraz namiętniej tulił ją do siebie.

Omdlewała w jego ramionach,

— A, a! szeptała, to miłość! — nie wiedziałam, co to miłość — och! jak niewypowiedzianie słodka!

— Teraz Cię mam! zgrzytnął zaciekle zębami. Sąsiad szarpnął go znowu.

— Tak! tak! Do nowego życia Cię odrodzę, oczyszczę Cię moją miłością, roztopię w jej żarach... Chodź, chodź, najdroższa, — tam na

tym moście, gdzieś wczoraj leciała w objęcia Szatana Śmierci, tam Cię do nowego życia posłubię...

Uczuł nagle, że poczyna opadać, że moc jego słabnie, coraz boleśniej panoszący się wstręt i odraza obezwładniała mu głos, coraz silniejsza nienawiść mózg mu rozpaliała: teraz najchętniejby cisnął ją o ziemię i kopnął jak brudny gałgan, ale raz jeszcze zdołał się szarpnąć:

— Chodź, chodź jedyna! Tam na tym moście — tam dokona się wielki cud!

Teraz dopiero spostrzegł, że szli już długą chwilę tą samą ulicą, co wczoraj — już przebłyskiwała w dali srebrna piana spienionej rzeki — coraz gwałtowniejszy tryumf rozpie-rał się w jego piersiach, a równocześnie dygoczący lęk, że przejrzała jego komedję i sama ją odgrywa... ale nie! nie! ona całkiem zatumaniona, bezprzytomna tem szczęściem...

A na przodzie kroczył twardy, nieugięty wódz.

Sąsiad jego opuścił go nagle.

— Aha! poleciał po dorożkę, pomyślał Gasztowt i o mały co nie wybuchnął gwałtownym śmiechem — dziś nie będzie potrzebna, zaśmiał się chytrze.

Przystanąła nagle:

— Lękam się, szepnęła.

— Lękasz się? Lękasz? Głos jego char-

czai i dyszał ostatnim wysiłkiem i przeraźliwą trwogą — teraz, gdy przekraczamy próg takiego szczęścia, które najstraszniejszą nędzę królewskimi skarbami ozłaca — teraz, gdy Cię do nowego życia odrodzę, kiedy Cię mam wobec wszystkich bóstw i wszystkich światów poślubić — teraz Ty się lękasz?! Chodź, chodź, naglił namiętnie, chodź ukochana, tam na tym moście zaślubne przysięgi Ci złożę, które stokrój silniej od wszystkich ślubów na wieki nas zwiążą!

Weszli na most.

Zaczęła się ociągać — ale on trzymał ją silnie pod ramię — bełkotał coraz gorętsze zaklęcia: drżący, spieniony, oszałamiający potok słów — zdawało mu się, że się przewraca przez wystawione podstępnie nogi własnych słów, że czepił się wraz z nią śmig wiatraka, który ich coraz gwałtowniej w jakimś piekielnym kolistku obracał, a nagle poczuł, że mu się wyrywa:

— Puść mnie! krzyczała.

— Nie! nie! zgrzytał zębami — teraz nie — teraz chwila naszych zaślubin... — trzymał ją wszystkimi siłami.

— Puść mnie! — zawyla w śmiertelnym lęku.

— Teraz! — zagrzmiał głos wodza.

— Puszczę! puszczę! — ryknął Gasztowt obłąkańczym śmiechem.

Okleszczył ją ramionami, w których nagle uczuł potworną jakąś siłę, oderwał ją od siebie jak przyczepioną pijawkę i jednym wściekłym rzutem przerzucił kobietę przez niską barjerę mostu.

— Krzycz! — ryknął.

Serce jego w mózg wrosło i waliło o czaszkę opętanymi młotami.

Ale nic nie słyszał.

— Krzycz! — zawył głosem, który mu piersi rozdierał.

Nic — prócz szumu spienionych fal rzeki.

I już, już miał się sam rzucić do rzeki, cisnąć się na topielicę, która jeszcze raz wypłynęła na wierzch, schwycić ją za gardło, dusić, by ten krzyk z niej wydobyć, gdy nagle uczuł, że go ktoś z tyłu chwycił.

Szarpnął się, obejrzał — i skamieniał:

Przed nim stał Weryho.

Patrzyli długo na siebie.

To nie było właściwie patzenie. To zupełnie cielesny dotyk jakichś widzących macek, wzajemny chwyt samoistnych, elastycznych organów, które się ściągaly i rozprężały, to wpicie się w siebie potwornych jakichś ssawek, z pomocą których jeden drugiemu duszę wyssać pragnął.

Długo — może wieczność całą — trwało to śmiertelne zmaganie się.

Wreszcie Gasztówt przymknął oczy, a gdy je znowu otworzył na nową mękę, nic nie widział. Ale tylko na jeden błysk sekundy, bo w tej samej chwili ujrzał Weryhę przed sobą. I zdumiewające! wyraźniej, niż kiedykolwiek: poraz pierwszy ujrzał go dokładnie — patrzył coraz natężeniej, by raz wreszcie już całkiem dokładnie i przytomnie się tamtemu przypatrzeć,

a w miarę, jak patrzył, ogarniał go śmiertelny przestrah.

Widział siebie samego!

Nogi się pod nim załamały, ugiął się, chwiał i staniał się w nadludzkiem wysiłku, by równowagę utrzymać, załopotał rękoma w powietrzu, nagle poczuł silne objęcie ramion.

— Cóż się Panu stało? — słyszał czyjs głos.

Otworzył oczy, ale znowu nic nie widział — a w głowie huczały mu słowa własnego jego przekleństwa, które na siebie był rzucił: ślepym będziesz, chociażbyś nawet nie-dostrzegalne ździebełko ujrzał!

Oślepl! — zawyło w nim coś przeciągłym wyciem zdechającego zwierzęcia.

Ależ nie! Bo teraz dokładnie wyłoniła się przed jego oczyma postać Weryhy, tylko ta twarz, którą przed chwilą tak dokładnie widział, znowu ją przybierać onego abstrakcyjnego wyrazu: wodza, Cezara, Antinousa, szatana, rzezimieszka, dobroczyńcy.

— Tu już nie mamy co stać — już teraz więcej nie wypłynie — tym razem wszelka akcja ratunkowa na nicby się nie zdała — woda już ją pewno ztąd o pół mili poniosła...

Weryho mówił poważnym, prawie smutnym głosem.

— To było przecież do przewidzenia — ciągnął dalej — wczoraj Pan ten niefortunny ra-

tunek o mało co życiem nie przepłacił, a dziś — dziś Pan piekielnie znużony — dziśby już jej Pan uratować nie zdołał.

— Ale przecież ja ją sam do rzeki rzuciłem! — wrzasnął nagle Gasztówt wściekły.

— I cóż z tego? — uśmiechnął się Weryho — Pan chciał tylko ten krzyk, który Pan wczoraj słyszał — raz jeszcze usłyszeć — przecież to tak jasne i naturalne! Kto wie, ile najpotężniejszych „Ukrzyżowań Chrystusa“ z wdzięczamy malarzom w średniowieczu, którzy jakiegoś tam żebraka na krzyż przybili, by móżdż spokojnie mękę konania studjować. Mówią, że to legenda, a mógłbym przysiąc, że „Ukrzyżowanie“ Grunwalda w ten sposób powstało. Zresztą tym razem powinien Pan być zadowolony — ten dzisiejszy krzyk topielicy chyba wszystkie piekła i niebiosy poruszył.

Gasztówt zatoczył się. Czuł, że się w nim coś od góry do dołu w strzępy rwie, ziemia się pod nim trzęsie, że niebo się nad nim obrywa:

On tego krzyku nie słyszał!

Był głuchym, chociaż słyszał — wszystko się w nim załamało — spełniło się jego przekleństwo, które rzucił sam na siebie — i był niemym, chociaż język jego był rozwiązany.

Teraz się dokonało!

Spełniły się wszystkie przekleństwa!

I cisza, wielka cisza rozgościła się w jego duszy.

Tylko coś w nim postanawiało jakiś wielki, ostatni czyn, ale nie wiedział, co by to być mogło.

— Wie pan co — powiedział nagle Weryho — kapitalny pomysł! Ja tu mieszkam w pobliżu... Bardzo będę Panu wdzięczny, jeżeli Pan do mnie wstąpi. Mam doskonały koniak, to się zagrzejemy — a zimno porządnie dojmuje — przytem dziś muszę koniecznie na jakiś czas wyjechać i to za parę godzin, więc możemy ten czas razem spędzić. Ale może Pan bardzo zmęczony?

— Nie, wcale nie... Gasztówt czuł, że Weryho ma mu coś do powiedzenia, czuł, że się nawet coś stać musi i wiedział, że w żaden sposób terazby się z nim rozłączyć nie mógł.

— To doskonale. — I jakby słyszał myśli Gasztówta, dorzucił: Ja mam istotnie coś Panu do powiedzenia... Wszak to Pan miał na myśli? Prawda?

— Prawda! — powiedział Gasztówt, bo wiedział, że nic pomyśleć nie może, czegoby tamten w tej chwili nie był mógł odgadnąć.

Szli szybko, bo przenikliwy chłód im dokuczał — widocznie było już nad ranem. Szli jakimiś tajemniczymi zaułkami, a właściwie dnem jakiegoś niezmiernie głębokiego kanału, bo w lewo i w prawo sterczały wysokie mury, ale żadne okno nie wychodziło na zewnątrz.

— Tu domy na sposób wschodni budowa-

ne — objaśniał Weryho — okna wychodzą na podwórze — tu nie łatwo się dostać.

Teraz już słowa nie zamienili, a było w nich coś, co im przemocą mówić kazało, a równocześnie im słowa w gardle zapierało: było, jakby ich coś ku sobie nieprzeparacie ciągnęło, a nienawistnie i wrogo od siebie odpychało.

Gasztowt nauczył się też w duszy Weryhy czytać.

Wreszcie przystanęli przed jednym murem, Weryho otworzył wązką, ciężką furtkę, która za nimi z trzaskiem zapadła.

— Teraz bez mej pomocy nie wydostałby się Pan z tego domu — gdybyś mnie Pan na przykład zamordował — ha, ha, ha — kapitalny pomysł — co? tobyś Pan w żaden sposób ztąd się wydostać nie mógł — te drzwiczki wtedy się tylko otwierają, jeżeli w mym pokoju nacisnę ukrytą sprężynkę. — Doskonała pułapka — co? Pan jeszcze wszystkich tajemnic ulicy nie zna. To jest zaklęty dom — lubię nad tem dumać, ile tu już zbrodni zostało popełnionych, które nigdy na jaw nie wyszły i nie wyjdą — podziemne ganki prowadzą wprost do rzeki, a może i pod rzekę... — Weryho uśmiechnął się znacząco, jak to Gasztowt wyraźnie czuł, bo w ciemnym, długim, a wązkim korytarzu panowała czarna noc.

Korytarz ten wydał się Gasztowtowi nieskoń-

czenie długi, a on teraz właśnie odczuwał śmiertelne znużenie.

— To tu! — powiedział Weryho, nacisnął w ścianie guzik — drzwi odskoczyły, równocześnie zapaliło się elektryczne światło i weszli do małego saloniku, który wyglądał na niezmiernie bogaty antykwariat.

— Nagromadziło się tu najrozmaitszych rupieci aż nadto, ale jak Pan widzi — miejsca jest dosyć. — Weryho posadził Gasztowta w głębokim fotelu, przysunął okrągły stolik i postawił na nim flaszkę koniaku.

— Pij Pan! — nalegał Weryho i nalał mu małą szklanekę, którą Gasztowt jednym tchem wypił...

— Tu zresztą nikogo nie wpuszczam — mówił Weryho — Pan pierwszy, który próg mego mieszkania przestąpił — zbyt wielkie skarby w nim przechowuję, a największym z nich będzie Pański „Krzyk“!

Gasztowt drgnął, ale nic nie odpowiedział, wpatrywał się tylko z natężoną uwagą w kosztowną płytę okrągłego stolika, patrzył na pawie, bażanty, rajskie ptaki, misternie wyrządzone z cieniutkich płyt malachitu, sjenitu, różnobarwnego marmuru, onyksu, ametystu i w czarną marmurową płytę inkrustowane. Gasztowt widział to wszystko z wizyjną prawie dokładnością.

— Ależ pij Pan! — nalegał Weryho i na-

łał koniaku do szklaneczek — Pan miał nielada dziś przeprawę — tak! to było zdumiewające!

A nagle przysunął swój stółek do fotelu Gasztowta i zaśmiał się na cały głos, ale jakimś złym, wymuszonym, prawie obelżywym śmiechem:

— Gwałtownie się temu opierałem, gdyś Pan twierdził, żeś Pan odegrał w „Dzikim Ry-siu“ komedję — gdyś Pan szkalował siebie komedjantem, harlekinem, histrjonem — pamięta Pan? Myślałem, że Pan mi to wszystko na przekór mówi, ale teraz istotnie wierzę, żeś Pan najpotężniejszym aktorem, jakiego dotychczas ziemia wydała...

Gasztowt ujrzał się nagle sam, bo nie widział Weryhy.

Ale to pewno była ta sama dawna igraszka — zresztą przywykł już do tego, że Weryho tak nagle, jak znikał, znowu mu się pokazywał — było to to samo, co z jego głosem: raz go słyszał — nagle w środku zdania się urywał, potem nagle znowu jakimś cudem do jego świadomości się dostawał.

— Tak! to, co widziałem, co słyszałem — ciągnął Weryho dalej — była tak niestychanie, tak genialnie odegrana komedja, że przestała nią być... To już nie komedja, to coś, co o całe niebo przewyższa to, co komedją nazywamy: to przepotężne napięcie wszystkich najskrytszych sił duchowych, by tylko swój cel osią-

gnąć, to jakieś mocarne ujarzmienie zwykłego mózgu ludzkiego przez jakiś boski, absolutny nad-mózg, to już niepojęte opanowanie własnego mózgu przez mistyczną potęgę, jaką indyjski wyznawca Yoghi bieg swej krwi reguluje, wymianę materji na miesiące powstrzymanie zdolen — w Panu spełniło się przyrzeczenie szatana: Eritis sicut deus!

Weryho mówił teraz, jakby w jakimś zachwycie:

— Przed kilku godzinami chciałem Pana w rękę pocałować za jakąś fatalną pomyłkę w ocenie duszy Pańskiej. Mierzyłem ją miarą zwykłej, biednej, ograniczonej duszy ludzkiej — myślałem, że Pan kłamie, by się wyprzeć swego dostojenstwa, ale teraz byłby śmieszny ten odruch wobec tego, że objawiło mi się coś, co z zwykłym mózgiem nie ma nic wspólnego — korzę się przed geniuszem, który nad ziemią i niebem włada, który, gdyby to mu było dla jego sztuki potrzebne, gwiazdy z ich torów mógłby strącić...

Gasztowt uśmiechnął się zwycięsko:

— Widzi Pan — teraz Pan jest na dobrej drodze — i z ciekawością będę słuchał Jego wywodów.

— Na oścież otworzyła mi się dusza Pana tam w tym nędznym bajzlu — gdy taniec się skończył... Ta pokora, z jaką Pan ocierał twarz z szampana — z jaką Pan schował złoty pie-

niądż — mimo, że wściekłość Panem miała...

— Doskonale! — potwierdził Gasztowt — prawda?

— Tak! to było nieporównane, by ją ściągnąć do swego stolika... chwila tylko chyhotania — wtedy, gdy Pan się zdradził, o co Panu właściwie chodzi, gdy Pan jej krzyczeń kazał...

— Tak! wypadłem z roli — Gasztowt głęboko się zastanowił.

— Nie! nie! przeciwnie! To ją jeszcze więcej podrażniło, zaciekało, nieprzeparcie ku Panu ciągnęło... Widzi Pan, widzi — otóż tu zacierają się granice między komedią a najszerszą rzeczywistością — teraz rozumiem rozdzierający Pański krzyk, że stanie się Pan Bogiem, jeżeli zdoła krzyk ulicy namalować!

Jakie to wszystko boskie, niezrównane, niepojęte! potęgą geniusza Pańskiego do jakiegoś niesłychanego ogromu wzniesione!

Gasztowt był chwilę silnie wzburzony i zirytowany — Weryho jak najwyraźniej kpił z niego, szydził z jego głupich, prostaczych kłamstw, ordynarnej i brutalnej komedji, jaką przez cały czas odgrywał.

— Ale niczem to wszystko, wobec niesłychanego, wprost olśniewającego podstęp, jakiego Pan zużył, by tę dziewczkę na most wy dostać. Widziałem, jak Pan zaciekle walczył

z wstrętem, obrzydzeniem; czułem, jak się Pan z sobą zmagał i łamał — ale teraz! och teraz! mózż przeżyć chociażby w najbledszym odbłasku ten przeolbrzymi tryumf, gdyś Pan ten krzyk posłyszał, tysiąckrotnie wzmożony, niż był nim wtedy, gdyś Pan tę ulicznice ratował...

Oczy Gasztowta spoczęły z natężeniem na twarzy Weryhy, a zmuszał je boleśnie do patrzenia, bo bezustannie i uporczywie zwracały się w głąb jego duszy, szukając tego skarbu, tego krzyku, którego w niej nie było, bo go nie słyszał — wlepiaty się z lękiem i przerażeniem w pustą ciemnię, a przed jego, aż do ostatniego krańca rozwartemi oczyma, ziała czarna przepaść, której dna dojrzeć nie było można.

Coraz goręcej rozpalał się głos Weryhy:

— Gdybym miał tysiące żyć, wszystkiebym je z rozkoszą oddał za tą jedną chwilę tego olbrzymiego szczęścia i tryumfu, jakiegoś pan doznać musiał, kiedyś wreszcie krzyk posłyszał — ten tysiąckrotnie wzmożony, spotęgowany dzisiejszy krzyk!

W duszy Gasztowta wzeszło olbrzymie, czarne słońce i zrobiła się ciemnia wielka, w której gdyby dwie zimne tarcze, lśniły zabójcze oczy Stonoga-Nędzy — nędzy tak przemożnej, że wszystko w siebie wchłoneła.

— Teraz wierzę, wierzę — dyszał Weryho w upojonym zachwycie, że Pan istotnie stanie się Bogiem, że stworzy to, na co się jeszcze za-

den człowiek nie pokusił, ani nawet nie miał odwagi, o czemkolwiek pomyśleć.

Gasztowt oderwał wreszcie zrozpaczone oczy od zięjącej przepaści w swej duszy i błdził niemi roztargniony po saloniku.

Przy ścianie naprzeciw stało ogromne biurko, którego płyta spoczywała na marmurowych sfink-sach z tajemniczymi uśmiechami, przymrużo-nemi nęcąco oczyma.

Oczy te zamykały się i otwierały i zdawały się mu dawać wyraźne znaki — patrzył teraz uważniej i nagle postyszał jakby muśnięcie da-lekiego szeptu:

— Czy patrzeć nie umiesz?

Gasztowt rozglądał się uważnie i natężenie, wreszcie wzrok jego padł na lśniącą marmu-rową płytę biurka, a na niej leżał jeden jedyny przedmiot — rewolwer.

Drgnął. Jakaś niepojęta siła jęła nabiegać jego żyły — mózg jego począł się rozrastać i pęcznieć — nadpływ bałwanów jakiegoś oceanu, który daleko poza horyzontem jego świadomości wrzał i kipiał przedpotopową burzą, słyszał te-raz coraz wyraźniej i coraz szybciej dojrzywało w nim jakieś postanowienie, ale jakie — jeszcze nie wiedział.

— A ten „Krzyk“ namaluje Pan dla mnie, szeptał Weryho namiętnie i beładnie — dla mnie, dla mnie go Pan namaluje — okupię go wszystkimi skarbami, jakie posiadam, ale

„Krzyk“ będzie mój! Pan go za pieniądze nie odda — wiem — wiem...

Gasztowt patrzył na niego nieprzytomnie — on widział tylko ten rewolwer, który zdawał się poruszać i gwałtem się domagać, by go wziął do ręki.

— Mam rzadki zbiór drogich kamieni, dygotał Weryho, mam bryły najróżnorodniejszych ame-tystów z Uralu, lśniące w wszystkich tęczach fioleto — mam ogromne grudy żółtych topazów z Czech i Saksonji, krwawo-czerwone rubiny z Birmy, jak modrak niebieskie szafiry z Hi-malaji — mam szmaragdy z Signapore, duże gdyby oczy tygrysie, i karneole z Indo-Chin, nieprzebrane skarby z lapislazuli z Afghani-stanu, płyty kamienne ultramarynowe z jeziora Bajkalskiego — mam...

Gasztowt nie słuchał, a raczej nie słyszał już, bo cały stał się okiem, wlepionem w re-wolwer...

— Mało? Co? jeszcze mało? Więc dam Panu za Krzyk zbiór najcenniejszych gobelinów i lizenów, jakich Pan na całym świecie nie znajdzie — mam rzadki zbiór szabel, jataganów, kindżałów wschodnich — wszystko to wysa-dzone najdroższymi kamieniami, najmisterniej-szej roboty — mam klejnoty po dziadach i pra-dziadach: pastorały biskupie, laski senatorskie, buławy hetmańskie...

Słyszysz Pan, co ja mówię? Słyszysz Pan?

Weryho schwycił go za klapę surduta i trząsł się w dzikiem podnieceniu.

Gasztowt patrzył na niego długo — widział jakąś boleśnie skurczoną, drgającą twarz, jakby konwulsją bezbrzeżnej rozpaczki była skręcana i znowu ujrzał w tamtym — jakby odbicie siebie samego, jakby w jakieś zaczarowane zwierciadło był spojrzął — ale to tylko na błysk sekundy, bo znowu dokładnie widział twarz Weryho, straszna, okrutna, krwiozerczą.

— Ja tego obrazu nie namaluję!

— Co? Co? Weryho skulił się, jak gromem rażony.

— Ja tego krzyku nie namaluję, bom go nie słyszał! ryknął Gasztowt nagle z wściekłą nienawiścią.

Weryho patrzył nań chwilę ostępiały, a potem wybuchnął długim, wyjącem, świszczącym śmiechem:

— Ha, ha, ha! Co za szatański komedjant! Co za potworny kłamca, że krzyku nie słyszał. — Ha, ha, ha! Co za obłąkany upór, by go nie namalować — ha, ha, ha! Co za nie-słychany figlarz! Ha, ha, ha!

A nagle jakby skamieniał, a twarz jego przemieniła się w drapieżną, bezludzka twarz kata:

— Pan ten krzyk namaluje! Rozumie Pan? Tu, już Pana ztąd nie puszczę, Pan wie, że te drzwi ja sam tylko otworzyć mogę — Pan tu

się ztąd nie ruszy, dopóki Pan nie skończy obrazu.)

Gasztowt zerwał się z fotelu — czarne słońce w jego duszy jęło nabierać blasku, ożywiać się i ocieplać zaciekłą nienawiścią.

— Ja tego obrazu nie namaluję! zacharzał.

— Namaluje go Pan, namaluje! — ze mną sprawa nie tak łatwa. Nie natom duszę Pańską w ciężkim trudzie uprawiał i przygotowywał, nie natom włóczył się za Panem krok w krok, nie natom wyteżał się aż do zniszczenia wszystkich sił moich, byś Pan moim rozkazom był posłuszny! — nie natom kazał Panu ratować tę dziewczkę, bom wiedział, że krzyk jej jeszcze w duszy Pańskiej nie dojrzał, nie natom kazał Panu grać, byś go w sobie szukał, nie natom sprowadził Panu topielicę na most i kazał mu ją mordować...

Gasztowt cofał się w stronę biurka i coraz gwałtowniej zaczęło się w nim rozpalać czarne słońce nienawiści i zązartego postanowienia.

— Nie natom — syczał Weryho i następował coraz bliżej na Gasztowta — korzył się przed Tobą, byś mi teraz chciał takiego figla splatać... Ha, ha, ha, zaśmiał się nagle i błyskawicznym ruchem wyrwał z kieszeni kamizelki Gasztowta stalowy łańcuszek z pierścionkiem.

Wzniósł go z tryumfującym okrzykiem w górę:

Weryho
tylko
go
w
swobod
reflek

— Ha, ha, ha! Teraz mi namalujesz, „Krzyk“. Teraz Cię mam — teraz musisz — musisz — musisz mi go namalować! Wywijał łańcuszkiem, a o stal jego pobrzękiwał pierścionek.

Gasztowt wyprężył się w nagłym postanowieniu:

— I Ty, Ty, który w mojej duszy najskrytsze myśli czytasz, który mi myśli podsuwasz, i niemi mi myśleć każesz, który moimi krokami kierujesz, duszę mi niespełnialną żądzą po sam brzeg wypełniłeś, jad pragnienia w moje żyły wszczepiłeś, by to stworzyć, co chyba Bóg stworzyć może —

— Masz być Bogiem! — ja Ci każę być Bogiem! syczał Weryho.

— Ty, Ty nie widzisz, że jestem niemocen, że niemoc i bezwład mnie opętały, że tego krzyku namalować nie mogę?!

— Musisz namalować!

— Czy nie widzisz, że tem wyznaniem duszę sobie na wpół rozerwałem, czy nie widzisz jak krwιά z tysiąca ran broczy?! — Oddaj mi mój pierścionek!

— Musisz być Bogiem! wrzasnął Weryho.

W Gasztowcie wszystko zawalać się jęło, rozjuszona wściekłość zaczęła mu krew do oczu chlustać:

— Oddaj pierścionek!

W twarzy Weryhy zaszła nagle jakaś niepojęta zmiana.

Stała się prawie smutną, nabrała jakiegoś zakłopotanego wyrazu, drgnęła kilka razy, jakby była ściągana kurczem bólu.

— Zaraził mnie pan, powiedział wreszcie z nieszczerym uśmiechem. Niech mi Pan wybaczy, że ja też odegrałem głupią, błazeńską komedię — rozumiem oczywiście, że krzyku malować nie można — barwa i dźwięk zdają się wykluczać wzajemnie — ha, ha, ha! zachichotał cicho — to istotnie przechodzi siły ludzkie — oczywiście oddaję Panu pierścionek — ja tylko Pana zastraszyć chciałem, tak jak Pan swoim własnym przekleństwem, które Pan na siebie rzucił, chciał na sobie wymódz, by dźwięk na barwę przemienić...

— Toś Pan słyszał moje przekleństwo? Gasztowt zatrząsł się cały.

— Ja słyszę wszystko — Weryho uśmiechnął się przyjaźnie — ma Pan tu swój pierścionek — o jedną tylko łaskę proszę...

— Teraz Pan zażądaj odemnie wszystkiego, czego Pan chcesz — tylko nie krzyku, — bo tego namalować nie mogę.

Gasztowt włożył z powrotem z uczuciem niewypowiedzianego szczęścia pierścionek do kieszonki, ale tym razem z łańcuszkiem.

Weryho się uśmiechnął.

— Stał się Pan przezorny — doskonale! Ale na wszelki wypadek, gdyby ktoś inny miał się pokusić o ten pierścionek, weź Pan ten re-

wolwer — nim Pan obroni skutecznie swoją własność.

Wziął z biurka rewolwer.

— O tu! tu go Panu wsadzę — niech Pan o nim pamięta — doskonały, świetny instrument — trzech ludzi od razu przeszywa, gdy się jednego za drugim postawi... No jeszcze strzeziennego!

Nalał koniaku do kieliszków.

— Teraz, gdy mi Pan przyrzekł, że wzamian za pierścionek da mi Pan wszystko, czego zażadam — pójdziemy do Pańskiego atelier — tam ma Pan jeden obraz, który mnie wprost opętał — nie będę miał spokoju, zaczem go nie będę miał u siebie — a ponieważ ja dziś bezwarunkowo wyjechać muszę, więc go od razu z sobą zabiorę... Chodź Pan...

Światło zagasta i od razu wyszli na jakąś ulicę.

Szli długo, ale wciąż jeszcze w zmrokach przedświt, chociaż to już dawno powinny być rano.

Już dawno winno być słońce wzejść — czemuż ono nie wschodzi? myślał Gasztowt.

Ale, jak długo to czarne słońce w sobie nosił, żadne inne pewno wzejść nie mogło.

Upewnił się, że ma pierścionek wraz z łańcuszkiem w kieszonce od kamizelki, zasię rewolwer w bocznej kieszeni od surduta i był nad wszelki wyraz uradowany — teraz już mu nikt pierścionka nie odbierze.

Weryho wydał mu się nagle jakimś wielkim dobroczyńcą, że mu tę broń podarował.

— Czy Pan rzeczywiście dziś wyjeżdżać musi? zapytał prawie z żalem.

— Tak! dziś — nieodzownie — jestem wprawdzie bardzo znużony, ale pragnienie, by

tylko Pana dopilnować — wybacz pan za wyrażenie — by tylko ten obraz, którym jestem, jak już mówiłem, wprost opętany, nie dostał się w czyjeś inne ręce, przemogło moje znużenie — tak dalece, że nigdy się tak rzeźkim nie czułem, jak właśnie teraz...

Weryho mówił coś jeszcze, ale Gasztowt nie dostyszał.

— A może przedwcześnie zdradziłem się z moją niemocą — Gasztowt wgryzł się w siebie znowu drapieźnymi palcami — możebym jeszcze raz spróbował ten krzyk namalować?

I znowu uczuł dyszącą nienawiść do tego człowieka, który haniebną swoją komedią zmusił go do tego wyznania.

— I właśnie — właśnie teraz namaluję! — jakaś potężna siła jąta rozpierać jego piersi — ale Ty, straszliwy kacie o tem wiedzieć nie będziesz!

Czarne słońce w nim jęło się znowu rozżarzać.

— A! już jesteśmy u celu — nie wiedziałem, że tak w pobliżu mieszkamy... Gasztowt silił się na wesołość.

— Jakim szczęśliw, że będę mógł nie jakimś niesłychanymi skarbami, które mi Pan za ten nieszczęsny krzyk przyobiecował, ale jakimś głupim obrazem mój pierścionek wykupić... Ha, ha, ha — aleśmy dziś siły nasze wypróbowali — nie wiem, kto wspanialszą ko-

medję zagrał — Pan, czy ja? — ależ oczywiście Pan! To z tym pierścionkiem to było niesłychane, wobec tego — wszystkie moje komedje są głupiem, ordynarnem prostactwem...

Z trudem pięli się po stromych wschodach.

— Pan gdzieś pod niebem mieszka — zaśmiał się Weryho.

— W niem samym — w niem samym — niedoszły Pan Bóg postarał się w najbliższem obcowaniu pozostać z tym, który już jako taki został uznany, odparł Gasztowt.

— Doskonałeś Pan się odciął, zaśmiał się Weryho.

Gasztowt otworzył drzwi do atelier.

— Och! jakim ja szczęśliw, że wreszcie mogę na własnych śmieciach spocząć — właściwie nie jestem znużony, ale Pan — niech Pan się — ot! tu — zgarnął z kanapy stos płócien — nie wiedział, kiedy je tam położył — o tu! tylko ostrożnie — ta kanapka spoczywa na bardzo niepewnych nóżkach.

Weryho siadł — odwrócił się i rozglądał się po atelier.

Gasztowt raz jeszcze się upewnił, że ma rewolwer w surducie.

— Teraz będę Panu bardzo wdzięczny, jeżeli Pan dotrzyma swego przyrzeczenia i mi ten jeden obraz odstąpi — ten, ten — Pan już wie...

— Aha! wiem, wiem! Gasztowt krzątał się

niespokojnie po atelier — wiem już — ten niepokazny obrazek — tak na pierwszy rzut oka niepokazny — ale dla Pana nieskończenie głębokoki — Pan ma coś z sposobu japońskiego patrzenia na sztukę: jedna gałązka jabłoni wyczarowuje Panu całą wiosnę — drobny wykravek, epizodzik z życia starczy, byś Pan całe tragedje przeżywał — wiem już, wiem...

Gasztowt wyciągał jedno płótno, po drugim...

— O, o! śmiał się Weryho, Pan mnie chce za ten pierścionek sianem zbyć — niechże mi Pan pokaże ten obraz z tą wyciągniętą nogą...

Gasztowt załamał ręce:

— Ten głupi, ordynarny obraz chce Pan mieć? Ten głupi epizod życia ulicy, śmieszny i maluczki, jak najprostsza rzeczywistość?

— Ten, właśnie ten! naglił Weryho.

Gasztowt ociągał się.

— No, jak już Pan koniecznie chcesz go mieć — to trudno — przyrzekłem...

— Trzydzieści tysięcy franków Panu zań daję — to marny, głupi podnózek do stworzenia krzyku — może Pan go jednak namaluje...

— Trzydzieści tysięcy franków? Oszałał Pan — postradał Pan doszczętnie zmysły? Za tę nędzotę, tę głupią pacaninę?

— Usilnie Pana o ten obraz proszę.

Gasztowt rozrzucał stopy płócien — ręce

mu drżały, a w oczach mu ciemniało, to znowu go jakiś nadmiar światła oślepiła.

Wreszcie wyciągnął jakieś spore płótno i rozwinął je przed Weryhą:

— To to Pan chcesz mieć! ten nędzny kicz?!

— Tak, właśnie to — niech mi Pan zechce powiesić płótno na sztaludze... Tak! tak! jakie to potężne!

Weryho zdawał się cały zatapiać w oglądzie tego obrazu:

W głębi rozwścieczona, zażarta tłuszcza z wyjąciami pięściami, oszałała pragnieniem zemsty i zniszczenia, walący się kłęb duszących się wzajem cielsk, by osiągnąć zbrodnia-rza, który przed tym rozszalałym tłumem ucieka. To może jakiś fanatyk, anarchista, który co dopiero rzucił bombę pod karocę jakiego możnowładcy, może łotr, który się zerwał z krzyża, by w rozpaczliwych susach dobiedz raj, który mu co dopiero konający Chrystus był przyobiecwał — obejrzał się wstecz, by odmierzyć dystans dzielący go od tłumy, w oczy jego wtłoczyło się serce, bije opętane, jak serce dzwonu na najdzikszą trwogę — szeroko rozwarte oczy jego oślepiło to serce, więc nie widzi, jak tuż przed nim złośliwy pomocnik karta, wystawił poprzez całą uliczkę potworną nogę, gdyby ohydną barjerę, przez którą za chwilę niechybnie wywalić się musi, a wtedy tłum się na niego rzuci i w kawały go rozszarpie...

Weryho zdawał się stawać jednym okiem: wpatrywał się chciwie w plamy barw, jakby jeszcze czegoś innego poza niemi szukał — poruszał ustami, jakby chciał w większy rozpęd jeszcze uciekającego zrodniarza smagać, dyszał chwilą oczekiwania, kiedy się on wreszcie, podstępna nogą zwalony, na wylocie ulicy rozłoży.

— To nieśtychane! boskie! szeptał pojony.

Gasztówt wyciągnął rewolwer z kieszeni surduta, wsadził go do kieszeni spodni, wyciągnął ostrożnie zabezpieczony palik i odwiódł kurek.

Weryho odwrócił się nagle:

— Niech mi Pan tylko wytłumaczy, czemu ten zbrodniarz, i ten, co mu nogę podstawia mają tę samą twarz — twarz Pańską?! Ha, ha, ha! zaśmiał się chytrze — czemu Pan sobie sam nogę podstawia? Patrz Pan tylko — patrz — obydwie twarze — to twarz Pana!

Gasztówt rzucił się nagle na niego, schwycił go za kark:

— Twoja! twoja zbrodniarzu, Twoja szatanie!

Ciągnął za kurek i posłyszał huk, nie! nie posłyszał go, ale widział w wścieklej roztoczy oślepiających błyskawic.

A równocześnie poczuł, jak jakaś straszliwa pięść zwała się między jego oczy: wyrzucił się wznak.

Nie czuł jednak żadnego bólu — przeciwnie

miał uczucie nieprzebranej błogości i szczęścia.

Wreszcie pozbył się Weryhy.

Dźwignął się nadludzką siłą, by napić swoje oczy krwią Weryhy, jak się w kałuży posoki tarza — ujrzał wprawdzie krew, ale na sobie samym: widocznie go krew Weryhy ochlustała — a nagle rozdarło się powietrze jakimś huraganem krzyku, międzyplanetarnym orkanem krzyku, który gwiazdy z nieba zdierał i światy z ich torów wytrącał:

Okręciło nim całe piekło rozkoszy szczęścia — tak! tak! to ten krzyk — ten — ten, który miał namalować.

Zerwał się nadludzką siłą i padł na kolana.

Na sztaludze widział rozpięty, rozpoczęty obraz.

Teraz, teraz go namaluje — czołgał się ku obrazowi — teraz tylko chwycić za pendzel, teraz tylko te pasma barw rozprowadzić...

— Teraz — teraz — z całą mocą stworzę ten krzyk!

Padł twarzą na ziemię, a gasnącym echem rozdrgało się powietrze:

Ten krzyk! Ten krzyk!

KONIEC.



196820

GŁOSY PRASY O „ALRAUNE“.

Gazeta Wieczorna :

„Alraune“ to nie rakieta literacka, ani jednodniowa księgarska sensacja, ale dzieło niezwykłego talentu, noszące w sobie mimo realizm koncepcji i egotyzm tematu pierwiastki nieśmiertelnej poezji, dzieło niezwykle charakterystyczne, jako objaw epoki, w której powstało, a więc zasługujące bezzwzględnie na przyswojenie go polskiemu językowi. I nie umniejsza to w niczem wartości „Alrauny“ Ewersa, że niesamowita ta a niezwykła istota nie jest wyłączną koncepcją mózgu i talentu Ewersa, lecz wypadkową ostatnich stu lat kultury i postępu, że nad kołyską jej szeptał swoje upierne fantasmagorye Edgar Poe, że wieńczył ją kwiatem grzechu Baudelaire, że trzymali ją do chrztu Villiers de l'Isle Adam, Barbey d' Aureville, Huysmans czy Amadeusz Hoffmann.

W labiryncie problemów, jakie nasuwają się przy lekturze „Alrauny“ najlepszym przewodnikiem jest sam Ewers. Zastanawia ta prawdziwie niemiecka skrupulatność, z jaką przeprowadza te „dzieje istoty żyjącej“ w szesnastu rozdziałach, przegrodzonych poetycznymi interwałami, przygrywką, dwoma intezkami i codą. Wszelkie nieporozumienie jest wykluczone. Autor uwodzi czytelnika tem, że pozornie rejestruje fakta realne, najśmielsze hipotezy swoje uzasadnia znanymi i uznanymi prawdami naukowymi analizuje pewnie i ściśle, a sam dochodząc do absurdu, nie pozwala fantazji czytelnika wkroczyć na manowce, a tam, gdzie przychodzi do głosu, wszystko to, co Tajemnicze, Niepoznawalne, Niezłębione kładzie wielki znak zapytania, jak gdyby krzyżujący zakaz: dotąd tylko sięga myśl ludzka — dalej nie można!! Melodia ta przy tego rodzaju niebezpiecznym i ślizkiem tworzywie jest jedynie możliwą. Czytelnik uwierzywszy raz w hipotezę stworzenia homunculusa drogą sztucznego poczęcia, w autorytet naukowej ekscelencji Jakóba ten Brinkena, dr. med., profesora i tajnego radcy, który powołał do życia Alraunę przeciw wszelkim prawom natury, potrafi z książką tą przeżyć kilka godzin wzruszeń tak szczerych i prawdziwych, jak gdyby powieść ta była tworem nie chorobliwej, wybujałej fantazji poetycznej, lecz pamiętnikiem prawdziwych zdarzeń.

Bo przyznać trzeba bez ogródek, że temat powieści Ewersa jest nie tylko suchy, ale potworny. Najbardziej prerafinowana fantazja autorów kryminalistki powieściowej po nasze czasy nie wymyśliła chyba dotąd nic bardziej skrajnego. Jak blade wyglądają wszystkie potwory ludzkie w literaturze w porównaniu z Ewersowskim ekscelencją ten Brinkenem, tym, „który Boga chciał wieść na pokuszenie“, czem były dotąd wszystkie literackie czarownice, wampiry czy dyablice wobec Alraune, córki mordercy i dziewczki ulicznej!?

I trzeba było zaiste niezwykłego talentu, ażeby porwawszy się na tego rodzaju koncepcję, stworzyć dzieło sztuki, dalekie od wszelkiej kryminalistki czy pornografii. Cokolwiekby powiedzieli o „Alraune“ przeciwnicy Ewersa, wierzyć się musi w szczerść jego intencji artystycznej. Jakże niemilosiernie zohydzają nam wszelką ninfomanię i pęd ku pornografii w osobie księżnej Wołkońskiej, jak w pięknych i poetycznych słowach przestrzega zaraz na drugiej stronie „przygrywki“ przed oddaniem swej

powieści do rąk młodzieży: „nie dla ciebie jasnowłosa siostrzyczko pisałem tę książkę. Twoje oczy błękitne są i dobre i nic nie wiedzą o grzechu. Dnie twoje są jak ciężkie grona liliiowych glicynii, opadają kroplami na miękką kopierzec: i miękko kroczy moja lekka stopa poprzez słońcem prześwietlone szpalery twoich słodkich dni. Nie dla ciebie pisałem tę książkę, moje jasne dziecko, siostrzyczko miła moich cicho śniących dni“.

Lwów, 27. lipiec 1917.

Henryk Zbierchowski.

Głos Narodu :

Książka typograficznie wydana niezwykle starannie i pięknie, zaopatrzona portretem autora, jest właściwie podwójnym dziełem, w którym Przybyszewski we wstępie walczy o lepsze z niezwrótnym Ewersem w powieści. Heinz Ewers jest to młody jeszcze autor niemiecki i niesłychanie awanturniczy podróznik (por. doskonałe: „Indien und Ich“), który swą drugą powieścią „Alraune“ wybił się na czoło literatury niemieckiej. Powieść ta porwała i porwa w niezliczonych wydaniach zastępy czytelników nadzwyczajnie pomysłową koncepcją sztucznego człowieka i niezwykle oryginalnym ujęciem duszy kobiecej.

Przeczytałem ten roman z takim zainteresowaniem, z jakim się czytuje tylko arcydzieła. I jakkolwiek ma on wiele cech sensacyjności, jest pozbawiony jednak jednej: plugawej erotomanii. A przecież autor miał wiele sposobności do rozłoczenia obrazów dyonizyjskich uniesień. Powstrzymał go jednak od tego artystyczny umiar, tak, że ani w jednym miejscu nie możnaby mu zrobić zarzutu nadużywania tych tanich efektów. Rzecz jest napisana uczciwie i solidnie. Zasługuje więc naprawdę na sukces, jakim się i u naszej publiczności już cieszy. Zasługuje też i ze względu na niepokalanie czysty przekład p. Jadwigi Przybyszewskiej.

Kraków, 9. sierpnia 1917.

Ludwik Tomanek.

„Wiek Nowy“ :

Cały zastęp młodych pisarzy zajął się problemem cudowności w literaturze bardzo żywo, że wymienię tu tylko Meyrinka, Seeligera, Strobla, a przede wszystkim Hansa Heinza Ewersa jako najbardziej utalentowanego przedstawiciela tego „genre'u“ literackiego. Jako odkrywca utajonych wśród współczesnego chaosu cudów Ewers jest w nich tak rozkochany, że cudowność tworzy najbardziej charakterystyczny rys jego płodów literackich, — przejawiających się w każdym z nich. Ten charakter cudowności, do którego dostroił się Ewers własnym wysiłkiem artystycznym, przedstawia bezprzeczenie wartość, nad którą nie tak łatwo przejść potrafia do porządku dziennego i współcześni krytycy i historycy literatury przyszłości.

Ewers jest nazbyt szczerą i głęboką indywidualnością, nazbyt żywo odczuwa rzeczywisty świat i nazbyt dobrze wie, czem jest prawo tak wewnętrzne jak i zewnętrzne (dowodem wstęp do „Alrauny“) był dał się uwikłać szatanowi i śpiewać jego chwałę. Każdy uważny a nieuprzedzony czytelnik „Alrauny“ przyzna, że mało jest książek, któreby tak wyszły z ducha

prawa i światła, jak ta powieść. To, że artysta traktuje temat, o którym nie można mówić w terminach sielanki, to chyba nie jest żadnym argumentem przeciw Ewersowi. Zamykanie oczu na zło jest nawet w oczach kościoła katolickiego najkompetentniejszego w tych sprawach, nie jest oznaką ni siły i odporności na zakusy szatana, lecz raczej strusiem wkładaniem głowy w piasek.

Jest więc „Alraune“ książką bezwzględnie ciekawą, poruszającą problemy niezwykle i rozszerzające horyzont duszy ludzkiej. Można zgodzić się z tem, co powiada Przybyszewski w swym wstępie, że jest w nim szczerza wola artystyczna, ciekawe zamiary i usiłowania i wiele siły twórczej. Dlatego nie można przejść nad „Alraune“ do porządku dziennego, jako nad jakąś jakoby pornografią: znamy powieści o wiele bardziej „cnotliwe“, a przecież z ducha ani połowę tak prawego nie poczęte, jak „Alraune“. — „Lektor“ przysłużył się faktycznie literaturze polskiej, przyswajając jej „Alraune“.

Lwów, 13. listopada 1917.

„Berliner Tageblatt“:

„Jak Hanns Heiniz Ewers dziwną tę istotę w twórczej fantazji swej ukształtował, trudno opisać. Musi ona w naszych oczach rość i stawać się. Jest ona w całym swym zimnym okrucieństwie tak niemoralną, jak sama natura, a jednak ona, ta straszliwa wydaje nam się prawie większą i lepszą, niż tęsknotą szarpane ludzkie zwierzęta, naokół niej. Wiele rzeczy z jej przeżycia w opowiadaniu wydałyby się wstrętnemi. Rzeczowy jednak sposób przedstawiania, w którym Ewers jest mistrzem, podnosi nawet brzydotę do godności sztuki. I kto ma uszy ku słuchaniu, ten w tym chórze umęczonych istot dosłyszysz głos głębokiej tęsknoty za czystością i pięknem. Że Frank Braun, który już w swoim „Uczniu czarnoksięskim“ z djabłem walczy, to ma być sam Ewers, nawet ślepy chyba rozpozna. Wyczuwamy w nim jego żarliwą walkę, i widzimy, jak z najgłębszego ponurego brutalizmu ku jasnym szczytom się wspina. Poetę odnajdujemy w całej książce; Człowiek ukazuje nam się tylko w krótkim rozdziale o matce, rozdziale, który jest tak skąpy i wstydlivy, jak każde prawdziwe uczucie u nas biednych współczesnych zarażonych chorobą „moderny“.

„Skąpy i wstydlivy, ale piękny i czuły“.

Paul Block.

„Leipziger Neuste Nachrichten“:

„Miarę, z jaką do dzieł Ewersa przystępować należy, dał nam on sam a z tego sądząc, jest „Alraune“ najgłębszym jego dziełem. Dziwna mieszanina pozamysłowej mistyki, wytwornego, perwersyjnego wdzięku, pierwotnej siły, zachwycającej prostoty i wyrafinowanej intelektualności — które wszystkim dziełom Ewersa tak odrębną cechą nadają, występują w „Alraunie“ z wirtuozowską doskonałością. Nie zaszkodzi również literackiemu znaczeniu książki, gdy podkreślę, że jest ona też niezwykle zajmującą. Zajmie każdego, wielu, co prawda, także oburzy. Dla literackiego smakosza zaś będzie cennym wzbogaceniem jego biblioteki“.

Olga Wohlbrück.